

TYDZIEŃ POLSKI

TREŚĆ: *Iza Moszczeńska:* Listopadowe rocznice. — *Ernest Łuniński:* W murach Krakowa. — „Rzeczpospolita“ a R. S. F. S. R. — *Aleksander Ringman:* Nasze obowiązki wobec Górnego Śląska. — Ugoda polsko-czeska. — Polska polityka wobec Sowietów. — O los rodziny ś. p. Al. Frąckiewicza. — *Józef Zieliński:* Ku uzdrowieniu Polski. — W Polskim Komitecie pomocy głodnym w Rosji. — O Polsce w Ameryce. — *Marjan Zdziechowski:* Św. Franciszek z Assyżu a chwila obecna (odcinek).

Listopadowe rocznice.

Przed wielką wojną miała Polska tylko jedno listopadowe święto — uroczystość wspomnień żalonych o ostatnim przejawie siły, ostatnim błysku nadziei. Skończył się okres walki, zaczął się długi, ponury okres martyrologii bezsilnej, wśród której rok 63-ci był tylko krwawą demonstracją dla poruszenia sumienia Europy, całopalną ofiarą, mającą — nie wywalczyć — lecz okupić niepodległość.

Europa — ani drgnęła, a na grobie Polski rozgospodarowała się tak wygodnie, rozbudowała tak imponująco a monumentalnie, że tylko bardzo silna wiara — ta, co to góry z miejsca na miejsce przenosi, — mogła utrzymywać przy życiu naród pogrzebany w jej podziemiach i szukać dla niego wyjścia na światło dzienne. Wskrzieszenie Polski zaliczono do rzędu utopji romantycznego okresu. Tak stały sprawy jeszcze bardzo niedawno. Gdybyśmy tak dziś odczytali, co na ten temat pisano u nas przed wojną, jak na tak zwany „romantyzm polityczny“ urągliwie otrząsały się pisma, mieniące się organami czystej myśli narodowej, może trochę nieśmiałości i pokory przygluszyłoby klótnie i wiecznie wskrzeszane swary o to, kto czego się rzekał i o czym wąpiał.

Jeszcze przed ośmiu laty hołd składany bohaterom z pod Stoczka i Grochowa, karany przez wrogów jak występki, przez swoich, rozsądnych a trzeźwych, poczytywany był za szaleństwo. Jeszcze sześć lat temu za obchody listopadowe na niemieckiej okupacji szli do więzienia ci sami ludzie, którym dziś — jako byłym aktywistom — wspomina się, że żądali za mało.

Świat się zmienił i my zmieniliśmy się z nim razem tak niespodzianie, tak szybko a gwałtownie, że wczorajsi utopiści obudzili się naraz realistami i nic dziwnego, gdy i utopia w rzeczywistość się wcieliła.

Wszystkie te zewnętrzne przełomy i wewnętrzne przemiany dokonywały się z tak zawrotnym, oszalamiającym impetem wśród chaosu katastrofy wojennej, że pamięć poszczególnych wydarzeń zatarła się w umysłach i dziś łatwiej nieomal fantazjować i tworzyć legendy na tle dni listopadowych z r. 1918-go, niż owych, o 90 lat dawniejszych, dziejów rewolucji, której każdy miesiąc, każdy dzień nieomal prześwieciła pracowita a beznamiętna krytyka historyczna.

A jednak stosunek uczuciowy i moralny do tych dwu kategorii rocznic jest i powinien być całkiem inny. Aureola poezji, która opromieniała w pamięci narodu minione dni „krwi i chwaly“, stała się w duszach późniejszych pokoleń siłą żywą, jedyną niezniszczalną w ogniu prześladowań i ucisku. Jej to zawdzięczamy, że tak wielka rzecz, jak Polska, przechowała się aż do dni zmartwychwstania w tak ciasnych kryjówkach, jak serca polskie.

Dziś już, gdy na widowni dziejowej istnieje nie idea polska, nie sprawa polska, lecz Państwo Polskie, kraj i ludzie, rząd, wojsko, prawa i instytucje, gdy jesteśmy już nie pogrobowcami wielkich tradycji, lecz obywatelami rzeczypospolitej, odpowiedzialnymi za to, co się dzieje i to, co się stanie, obowiązek narodowy nie może się na tem zasadzać, by czcić i wierzyć. Powinnością naszą jest znać i rozumieć tę tak niedawną przeszłość, której każdy dzień dzisiejszy, szary, powszedni dzień pracy i zabiegów, jest nieuchronnym, konsekwentnym dalszym ciągiem. Hołdy i obchody zostawmy dalszym pokoleniom; one dopiero osiągną dostateczną perspektywę historyczną, by ocenić i odmierzyć zasługi tych, którym swą wolność i pomyślność zawdzięczać będą; osądzą czyny po ich owocach. My winniśmy tylko rejestrować fakty, zastanawiać się nad nimi i zdając sobie jasno sprawę, jak się dokonało to, co jest, znaleźć odpowiednią drogę do tego, co ma być, co się stać powinno.

Zróbmy tedy krótki przegląd wydarzeń owej wiekopomnej jesieni 1918 roku.

Było to wtedy, gdy już waliły się mury oblężonej fortecy, którą stanowiła Centralna Europa w ciągu czterech lat wojny światowej. Francuskie i angielskie czołgi rozorały front niemiecki — kolejne linje Hindenburga, Wotana, Ziegfrieda, a przerażony Ludendorf tracił głowę i drżąc oznajmiał parlamentowi: „nie mamy już rezerw”. Już d. 26 września kapitulowała Bułgaria. W tydzień później, 4 października, Austro-Węgry, Niemcy i Turcja zwrócili się do Stanów Zjednoczonych z prośbą o wszczęcie rokowań pokojowych na zasadzie 14 punktów Wilsona, — z których 13-y opiewał: „Niezawisłe państwo polskie, któreby musiało zamknąć w sobie niewątpliwie przez ludność polską zamieszkałe obszary, musiałyby być stworzone. Musiałoby ono posiadać wolny dostęp do morza. Jego gospodarcza niezawisłość i terytorjalna nienaruszalność musiałyby być zagwarantowane przez międzynarodowy układ”.

W Warszawie Rada Regencyjna, reprezentująca Polskę — w zasadzie niepodległą od 5 listopada 1916 roku, w rzeczywistości poddaną wojskowej władzy dwóch okupantów — ogłosiła d. 7 października manifest do narodu polskiego. Powołując się na ogólnie „przez świat cały przyjęte” zasady prezydenta Stanów Zjednoczonych, odpowiadające „jasnej, stanowczej, jednomyślnej” woli „narodu polskiego” i jego „nieprzedawnionym prawom do zupełnej niepodległości”, wzywa w nim naród, „by stanął jak jeden mąż i wyteżył wszystkie siły” dla urzeczywistnienia swych dążeń. W związku z tem rozwiązuje Radę Stanu i zapowiada zwołanie na szerokich zasadach demokratycznych sejm, w którego ręce władzę swą złożyć postanawia. „Polska Zjednoczona Niepodległa” — oto hasło, wobec którego wszystkie partyjne hasła zamilknąć muszą.

Równocześnie z aktem jednoczenia i wyzwalania Polski dokonywał się odwrotny proces rozpadania się Austrii na jej składowe części. Delegaci polscy w austrijskiej delegacji oświadczają 15 października, że „od tej chwili uważają się za obywateli i poddanych Wolnego i Zjednoczonego Państwa Polskiego”, a 31-go października Polska Komisja Likwidacyjna konstytuuje się w Krakowie i tam zaczyna pełnić władzę. We Lwowie wybucha walka z Ukraińcami i rozpoczyna się ten strasznie krwawy, wspaniały i bohaterki dramat listopadowy niezłomnie wiernego miasta, epizod dziejowy, który blaskiem swym niewątpliwie przyćmi w przyszłości wszystko, co w tych pamiętnych dniach Polacy dla swej własnej sprawy zdziałali. Kiedy Lwów krwią ofiarną, krwią młodzieży, kobiet i dzieci pieczętował swą niezłomną wolę i nieprzedawnione prawo do wolności i zjednoczenia, w stolicy zjawiał się manifest za manifestem, a każdy stanowił pewnego rodzaju zamach stanu i przewrót.

Aktywistyczna z twardej konieczności, lecz pasywistyczna z przekonań (przynajmniej w $\frac{2}{3}$ swego składu) Rada Regencyjna powołała do władzy pierwszy i dotąd jedyny narodowo-demokratyczny gabinet z Józefem Świeżyńskim jako premierem. Trzynastodniowe rządy tego gabinetu zaznaczyły się tylko dwoma czynami. Pierwszym było zawiadomienie Beselera o swem ukonstytuowaniu i oświadczenie, że ten nowy rząd nie rozpocznie swego urzędowania bez ministra wojny, Józefa Piłsudskiego, którego wypuszczenie na wolność i powrót do Warszawy niezwłocznie nastąpić powinny. Drugim był manifest z d. 3 listopada, w którym wszyscy ministrowie, przechodząc milcząco do porządku dziennego nad Radą Regencyjną, obwołują „Wolną i Zjednoczoną

Święty Franciszek z Assyżu a chwila obecna.

(Dokończenie).

Aprobata Stolicy Apostolskiej ogromnie podniosła znaczenie Franciszka, rozwiła resztki uprzedzeń. Z radością wraca do ojczyznej Umbrji. Odtąd nauczanie jego, pochód po miastach włoskich staje się szeregim tryumfów. Gdzie się pojawia, dzwonią we wszystkie dzwony, lud tłumnie śpieszy na powitanie, zewsząd słyszy się okrzyki *ecco il Santo*. A on w świętej pokorze miał siebie za najmniejszego pośród maluczkich! Z przepełnionej radością i wdzięcznością duszy jego wybuchało rzewne *Magnificat* na cześć Panna, „który wejrzał na niskość sługi swojego, który zrzuca Mocarze z ich stolic, a podwyższa maluczkich” — i tembardziej utwierdzał się w pokornym mniemaniu o sobie: „Wiesz, dlaczego Pan mię wybrał — mówił do brata Mosseo — oto dla tego, że nie znalazł na ziemi stworzenia nędzniejszego odemnie do wykonania cudownego dzieła, które wykonać zamierzył; wybrał mię, aby zawstydić wszystką wielkość i mądrość świata, aby poznano, że moc wszelka i cnota tylko od Boga idzie, nie od stworzenia“... 1).

Tymczasem napływali do zgromadzenia coraz nowi członkowie; koło roku 1220 rachowano ich już nie na dziesiątki i nie na setki, lecz na tysiące. Napływali zewsząd, ze wszystkich warstw społecznych — i ku przerażeniu Franciszka byli między nimi także uczeni. I nietyle nauka sama przerażała go, ile konsekwencje, wynikające z przyjmowania jej adeptów. Wszak potrzebowali szczególnych warunków do pracy — miejsca, przedewszystkiem zaś książek. Gdzież się podziwalo w takim razie umiłowane ubóstwo! Przedtem nie dopuszczał, aby ktokolwiek z braci posiadał nawet psalterz. „Dziś — mówił do jednego z nich — wystarcza ci psalterz, jutro zażądasz brewiarza, a potem rozsiądziesz się na fotelu, niby ważny jakiś prałat, i powiesz bratu twojemu: podaj mi mój brewiarz”. Więc z bólem i oburzeniem dowiadywał się, że bez wiedzy jego jeden z braci zakładał w Bolonii szkołę teologiczną dla franciszkanów. Może nie odrzucał nauki tak bezwzględnie, jak Tolstoj, ale nie miał złudzeń co do znaczenia jej i wpływu, bo co warte było nauczanie z książek wobec nauczania i nawracania żywym przykładem własnego życia. Na tem stał niewzruszenie; innej drogi do szerzenia chwały Kościoła i zdobywania świata nie widział, nie uznawał.

Pierwsza reguła była podstawą moralną, ale nie dawała podstawy organizacyjnej, której zresz-

1) Ib. 108.

Polskę Ludową" jako Rzeczpospolitą, opartą „nawszystko" na warstwach „pracującego ludu polskiego". „Interesy" warstw uprzywilejowanych winny ustąpić — głosi tenże manifest.

Dzień 3 listopada stanowi zatem metrykę narodzin „republik ludowej" w Polsce, a akt urzędowy podpisany jest nazwiskami członków stronnictwa stale zaliczanego do skrajnej prawicy. — Prawda, że autografy ich pojawiły się wtedy, w oficjalnym dokumencie po raz ostatni, a raczej przedostatni, gdyż już w 24 godzin później — z woli Rady Regencyjnej ci sami ludzie podpisali swą dymisję.

Natomiast idea ich utrzymała się, znalazła zatwierdzenie w obozie przeciwnego krańca, u skrajnej lewicy. W nocy z d. 7-go na 8 listopada ogłoszono rząd „Republiki Ludowej" w Lublinie, z Ignacym Daszyńskim, jako prezydentem ministrów.

Manifest tego drugiego republikańskiego rządu był znacznie obszerniejszy w rozmiarach, obfitszy w treści i dalej sięgający w swym programie. Nie było w nim żadnych przemiłczeń i niedomówień, lecz wszystko przewidziano, postanowiono, określono jasno, z kropkami nad *i*. Rada Regencyjna „działająca na szkodę narodu polskiego", przestaje istnieć; rządowi polskiemu istniejącemu prowizorycznie w Warszawie, rozkazuje się natychmiastowe podporządkowanie się władzy lubelskiej. Ktokolwiek zechce opierać się tym nakazom, „zostanie wyjęty z pod prawa", a ściganie go, ujęcie i wydanie w ręce lubelskich władz wykonawczych jest obowiązkiem każdego obywatela polskiego. Oprócz zapowiedzi powszechnego sześcioprzymiotnikowego prawa wyborczego do Sejmu było jeszcze w tym manifestie całkowite równouprawnienie obywateli bez różnicy dochodzenia, wiary i narodowości, upaństwowienie

lasów, donacji i majoratów, wolność strejków, 8 godzinny dzień roboczy, zapowiedź przymusowego wywłaszczenia wielkiej i średniej własności, upaństwowienie kopalń, salin, źródeł naftowych, konfiskata kapitałów powstałych z zysków wojennych, ustanowienie po wsiach i miastach milicji ludowej — (przeciw „dyktatorskiej władzy austriackiego żołdaka", generała Rozwadowskiego, który z ramienia Rady Regencyjnej miał organizować armję na odsiecz Lwowa) oraz różne inne demokratyczne reformy. Z politycznych wskazań manifestu godny zaznaczenia jest poniższy ustęp:

„Polaków zamieszkałych na ziemiach b. Księstwa Litewskiego zywamy, aby w braterskiej zgodzie z narodami litewskim i białoruskim dążyli do odbudowania państwa litewskiego w dawnych jego historycznych granicach, Polaków zaś ze Wschodniej Galicji i na Ukrainie do pokojowego załatwienia kwestji spornych z narodem ukraińskim aż do ostatecznego ich uregulowania przez miarodajne czynniki obu narodów". Wyrażono również wiarę, że lud niemiecki dochodzący do władzy „rozkaże swoim wojskom opuścić wszystkie ziemie polskie". W przeciwnym razie jednak będzie do tego przez polską armję ludową zmuszony.

Tworzenie tej armji powierzono generałowi Rydzowi-Smigłemu.

Oba te manifesty, tak śmiało i stanowcze w tonie i treści, noszące wszelkie znamiona zamachu stanu — były jednakże niewątpliwym wyrazem giętkiego oportunizmu, wręcz migawkowego przystosowania się do doraźnej sytuacji politycznej. Przypomnijmy bowiem, jak wówczas wyglądała Europa. W Rosji od roku władza przeszła w ręce Rady Robotników żołnierzy i włościan; w Niemczech d. 8 listopada abdykował Wilhelm II-gi,

tą nie potrzebowali nieliczni a wierni wyznawcy i towarzysze świętego. Lecz co miał począć potem z coraz bardziej mnożącą się rzeszą tych, co śladem jego iść chcieli? Poeta, rycerz, rozmarzony kochanek świętej Pani Ubóstwa nie umiał być organizatorem. Było to przeciwne całej jego naturze. Miał zaś możnego przyjaciela i orędownika w osobie kardynała Hugolina (późniejszego papieża Grzegorza IX) — więc jego o założenie reguły uprosił. Kardynał zabrał się do rzeczy gorliwie, z przejęciem się sprawą, w poczuciu odpowiedzialności wobec Kościoła i ze szczerą chęcią zachowania, o ile się to dawało, ducha twórcy Zakonu. Owocem jego pracy była reguła ostatecznie w r. 1223 przez pap. Honorjusza III zatwierdzona. Niestety dla Franciszka była ona cięsem. Nie był on w stanie zrozumieć tej modyfikacji, jaką myśl jego pod piórem kardynała znalazła, tego nieuniknionego kompromisu z warunkami już nie miejsca i czasu tylko, lecz wogóle bytu człowieka na ziemi. Słowa z Ewangelji Mateusza: „Nie miejcie złota, ani srebra w trzosach waszych, ani dwu sukien, ani butów, ani laski" — słowa te, do których przywiązywał największą wagę, których się trzymał z upartą energią, zostały *niemiłosiernie*, jak wyraża się Joergensen, wykasowane. Jakgdyby kto nożem przebił serce świętego. Miał uczucie, że wszystko, dla czego żył, czemu się poświęcał, że wszystko to ogłaszali

teraz za chimereę ci właśnie, którym najbardziej zaufał i wierzył, że dzieło jego prowadzić po nim będą. Niestety, inaczej być nie mogło. Idealista, bohater ducha, żądał takiegoż samego bohaterstwa od tych, co za nim szli, gdy dla mądrego i praktycznego organizatora, jakim był kardynał, było jasnym, że dostępny tylko wybrancom heroizm duchowy może świecić z wysoka, jako ideał, ale nie może być podstawą reguły. Patrząc, jak rozluźniało się to dzieło, widząc bezsilność swoją w przeciwdziałaniu temu, wycofał się był z życia czynnego jeszcze w r. 1220 i złożył kierownictwo w ręce innych. Odtąd poprzestawał na wspieraniu radą swoich najbliższych; zatapiał się w kontemplacji i słodyczach życia wewnętrznego.

Udręczony moralnie i trawiony ciężką chorobą fizyczną, zadziwiał otoczenie hartem swoim i pogodą — i właśnie w epoce najdolegliwszego cierpienia wzbijał się na szczyty poezji i tworzył w r. 1225 słynny hymn do słońca, którym kończył i zamykał szereg owych cudownych serdeczną rzewnością swoją pieśni, co mu się laly z duszy w pierwszych szczęśliwych latach, gdy w upojeniu wiary w blizki tryumf idei i w odrodzenie kościoła i świata przez ubóstwo, przyciskał stworzenie całe do serca, widząc wszędzie — w gwiazdach, chmurach, ptakach, kwiatkach — odbicie twórczej Miłości Bożej.

Już na łożu śmierci, w r. 1226, kreślił on

a nazajutrz ogłoszono republikę. I w Wiedniu również na obszarze Austrii niemieckiej zaprowadzono ustrój republikański, a to samo uczyniła i Czechosłowacja.

Armje walczące demobilizowały się samorzutnie. Austryjackie wojska okupacyjne po prostu rozchodziły się do domów; niemieckie formowały rady żołnierskie wedle rosyjskiego wzoru, choć bez rosyjskiego temperamentu. Zdegradowani przez własnych podwładnych oficerowie pospiesznie i bez przeszkód odjeżdżali do ojczyzny, a to samo nocą z dn. 9-go na 10 listopada uczynił i Beseler, złożony poprzednio urzędownie w ręce Rady Regencyjnej dowództwo nad armją polską.

Wszyscy królowie i książęta, panujący w Rzeczy Niemieckiej, ze skwapliwością nieporównaną składali korony do rąk wszechwładnego ludu, nie przewidującego tak tanich tryumfów nad ginącym światem reakcji. Cała Europa tedy zaparowała się na czerwono i w tej szacie jawił się „duch czasu” u kolebki nowonarodzonej Polski.

Kolebka ta jednak była bardzo a bardzo ciasna: bolszewicy, którym ustępująca armja niemiecka dobrowolnie oddawała władzę, dotąd tak zazdrośnie strzeżoną, zajęli całą Białoruś, Wileńszczyznę i ziemię Grodzieńską, usadowili się nawet w Białymstoku. Granica była w Łapach. W Lubelskiem grasowali Ukraińcy. W Wielkopolsce Rada Ludowa jeszcze paktowała z niemieckimi Radami republikańskiego autoramentu, a wyzwolony lud niemiecki nie kwapił się z wydaniem rozkazu wojsku, by „niezwłocznie” z ziem polskich ustąpiło. Proletariat wszystkich krajów zerwał się do obalenia monarchizmu, kapitalizmu, militaryzmu, ale ponad ich głowami nie podawano sobie rąk w imię międzynarodowych haseł braterstwa i sprawiedliwości.

To złudzenie prysnęło najwcześniej. — Na niem jednak oparty był cały polityczny program rządu lubelskiego, dla którego — z jego punktu widzenia—walki w Galicji Wschodniej były „bratobójcze”, w imię czego nie wahał się rozbroić w Lublinie bataljon wojska polskiego, które „żołdak austryjacki” Rozwadowski, siał na odsiecz Lwowa.

Chaos w Polsce był więc tylko wiernym odbiciem chosu ogólnoeuropejskiego w znacznie zmniejszonych i złagodzonych formach. Obalano i detronizowano to, co było na miejscu, a było tego wszystkiego razem bardzo niedużo, boć państwo polskie i jego władze istniały zaledwie w wątlym zawiązku. Zresztą nasze „okopy św. Trójcy” bynajmniej nie stawiały oporu czerwonej fali. Ponad oportunizm prawicowy z 3 listopada i lewicowy lubelski z 8-go, wybujal i rozstrzygnął sytuację oportunizm Rady Regencyjnej, w której nikt chyba nie zdołałby dopatrzeć się żądzy panowania i władczych ambicji. Jak w październiku na wieść o zwycięstwie koalicji niezwłocznie powołała do władzy ententofilski, narodowo-demokratyczny gabinet, tak znów w początkach listopada, gdy „czerwony sztandar” powiał ponad trony, skwapliwie pospieszyła złożyć rządy w ręce powracającego z Magdeburga Józefa Piłsudskiego, widząc w nim wybrańca ludu i uznając, że „vox populi vox Dei”. Z rządem lubelskim nie stanęła do walki; całą odpowiedzialność za rozwiązanie czy sankcjonowanie gabinetu Daszyńskiego zrzuciła ze swojej zdepopularyzowanej trójcy na głowę człowieka, którego popularność stwierdziły z rzadką jednomyślnością oba republikańskie manifesty: prawicowy i lewicowy.

Uszanowała wolę narodu z lojalnością przykładną, oszczędzając krajowi wstrząśnień i walk

swój Testament. Nie jest on odwołaniem reguły, w której spaczono myśl jego, jak twierdzi Sabatier, świadczy jednak o głębokim, bolesnym rozczarowaniu. Reguła bowiem była w pewnej mierze zejściem z owej „góry Pańskiej, na której mieszka Święte Ubóstwo”. Usprawiedliwiano to tem, że grzech leży nie w bogactwie, a w woli, t. j. w przywiązaniu do bogactwa, nie zaś w posiadaniu jego. Ale było to w oczach świętego sofizmatem, niemal zdradą owej świętej Pani, najlepszej i najpewniejszej przewodniczki na drodze ku błogostawionym krajom Nieba. Więc drżał, że następcy jego mogą pójść dalej jeszcze w kompromisowym kierunku; chodziło mu o to, aby przynajmniej utrzymać zakon w ramach tej choć niedoskonałej lecz bądź co bądź na ubóstwie opierającej się reguły, którą ułożył kard. Hugolino. Więc zaklinał braci surowo „w imię posłuszeństwa”, nakazywał im, ażeby się nie odważali interpretować ani reguły, ani testamentu. „Nie powinniście mówić, że to lub owo należy tam, rozumieć w taki czy inny sposób. I regułę, i pismo niniejsze dał mi Bóg pisać w prostocie—i wy powinniście i jedno, i drugie brać prosto, bez interpretowania, i święcie się do tego stosować”.

Ale już w r. 1230, więc w 4 lata po śmierci świętego, Grzegorz IX „interpretował” testament, zwalniając Zakon od posłuszeństwa jemu.

(ad mandatum illud vos dicimus non teneri). Tenże papież kanonizował Franciszka i uroczyście kładł kamień węgielny pod budowę wspaniałej, pod jego wezwaniem, bazyliki w Assyżu. „Pójdźcie — kończy Sabatier dzieło swoje — podziwiajcie ją, tę dumną, bogatą, ogromną bazylikę, a potem zejździe do Portiunculi, do San Damiano, a zobaczycie przepaść, przedzielającą ideał Franciszka od ideału papieża, który go kanonizował”.

* * *

Rozpoczęte za życia Franciszka, wzmogły się po jego śmierci spory między obserwantami, którzy chcieli jaknajściślej nauk mistrza się trzymać, a tymi, co dopuszczali odstępstwa ze względu na to, że, co możliwem było dla jednostki, stawało się niewykonalnem w licznym zgromadzeniu. Wskutek tego z biegiem czasu odrywały się od pnia franciszkańskiego rozmaite gałęzie, powstawały z nich nowe zakony — reformaci, bernardyni, kapucyni — powstawały pod hasłem powrotu, lub przynajmniej zbliżenia się do pierwotnej czystości i surowości, a wszystko to świadczyło, jak żywym był duch wielkiego założyciela.

Ale znaczenie Franciszka z Assyżu polega, jak powiedzieliśmy wyżej, także na tem, że wpływ jego znacznie przekroczył ramy zgromadzenia zakonnego. Do nadziemskiej postaci, do

domowych i kierując jego losy na drogę najmniejszego oporu.

Dnia 11 listopada 1918 roku wydano dekret, opatrzone podpisami trzech regentów i Józefa Piłsudskiego, mocą którego Rada Regencyjna przekazuje władzę wojskową i naczelné dowództwo wojsk polskich brygadjerowi Józefowi Piłsudskiemu.

W trzy dni później, 14 listopada, wyszedł dekret drugi, podpisany przez trzech regentów: „Stan przejściowy zwierzchniej władzy państwowej, ustanowiony odezwą z dnia 11 listopada 1918 roku, nie może trwać bez szkody dla powstającego Państwa Polskiego. Władza ta powinna być jednolita. Wobec tego, kierując się dobrem Ojczyzny, postanawiamy Radę Regencyjną rozwiązać, a od tej chwili obowiązki nasze i odpowiedzialność względem narodu polskiego w Twoje ręce, Panie Naczelnny Dowódcu, składamy do przekazania Rządowi Narodowemu“.

Dan w Warszawie, d. 14 listopada 1918 r.

Tak to po czterech latach wymodlonej wojny ludów zrodziła się Rzeczpospolita Polska w pamiętnych dniach listopadowych—a choć jej wskrzeszenie było raczej dziełem losu, epokowych wydarzeń historycznych, które waliły w proch mocarstwa i trony, by dla Zmartwychwstałej zrobić miejsce wśród narodów — to jednak nie zabrakło i aktów twórczej woli i wiary Polaków samych. Żadna katastrofa dziejowa, żadne polityczne trzęsienie ziemi nie zbudziłoby do życia umarłego narodu, który zawieruchę taką przetrwałby bezwładnie i biernie, w bezsilnym oczekiwaniu, co z nim zrobią.

Wiadomą i niewątpliwą jest rzeczą, że żadna z walczących milionowych armii nie wyruszała w pole z zamiarem odbudowania Polski i ani

koalicja, związana przymierzem z Rosją, ani mocarstwa centralne nie mogły i nie chciały poruszać sprawy, która groziła zachwianiem ich potęgi i skłóceniem ich między sobą.

Mimo wszelkich wzniosłych haseł proklamowanych na froncie czy na tyłach walczących armii — czwarty rozbiór był zawsze możliwy, w każdym momencie wojny światowej. Polacy sami wnosząc na pole walki swój sztandar Orła Białego narzucili Europie sprawę polską, a krwią przelaną za jej niepodległość zamordowaną Ojczyznę wskrzesili. Byli bowiem zawsze między nimi tacy, co spędzali noc niewoli w bezsensnym czuwaniu, głęboko przejęci prawdą słów wieszczów: „Musimy coś zrobić, co by od nas zależało, zważywszy, że dzieje się tak dużo, co nie zależy od nikogo“. W tych słowach mieści się całe wyznanie wiary i całe uzasadnienie aktywizmu.

I. Moszczeńska.

W murach Krakowa.

W silnej i pełnej społecznych pogłębień mowie, wypowiedzianej w umysłowo silnym i politycznie pogłęzionym Krakowie, podkreślił premier Ponikowski pewne prawdy, zachwłane w latach burzy wojennej, wywrócone poprostu na opak i wrzucone do lamusa zbędnych pojęć. Pokłon oddany szkole historycznej podwawelskiej za jej narodowo praktyczną działalność był jakby nawoływaniem do odrotu od linii szowinizmu i różnych „Duchów dziejów Polski“, od polnych kwiatów, zaszczerpionych ongiś przez Stefana Buszczyńskiego dłonią człowieka uczuciowego, ale naukowo niewyrobionego, pogrążonego po uszy w odruchowej nienawiści względem wszystkiego, co zro-

człowieka, o którym powiedziano, że wysłuchuje tych nawet, których Bóg słuchać nie chce, garnęli się również ludzie ze świata, tacy, co od świata odejść nie mogli, choćby ze względu na obowiązki rodzinne. Nie chciał Franciszek odpychać ich, owszem, przyjmował, rozumiejąc, jak wielce przyczynić się to może do tryumfu jego idei, ale nie mógł od nich żądać, aby rzucili żony i dzieci i rozdali całe mienie ubogim. I pod skrzydłem jego kwitnęły owe *Collegia poenitentium*, które później nazwano zakonem trzecim, czyli tercjarzami św. Franciszka. Reguła ich, którą ustalono w r. 1221, nie doszła do nas w swej pierwotnej formie, to jednak wiemy, że polegała na zasadzie, aby, żyjąc i pozostając w świecie, jak najmniej do świata należeć. Warunkiem przyjęcia było pogodzenie się z nieprzyjaciółmi i zwrócenie nieprawnie posiadanej mienia prawym właścicielom. Po przyjęciu żądano od tercjarzy między innymi, aby nie nosili broni i nie przysięgali. Dzięki temu — słowa Joergensena — lepiej, niż w wiekach późniejszych kwakrowie i adwentyści, przyczyniali się oni wszędzie, gdzie byli, do rozbrojenia ustawicznie kłócących się i wojujących ze sobą miast i państwów i przygotowywali dzieło pokoju. Z Włoch szerzyli się po wszystkich krajach, na całym Zachodzie, rozdzieranym przez interesy i nienawiści polityczne, stwarzali wielką wspólnotę religijną, łączącą

wszystkie stany i narody, „wielką ligę modlitwy i pokoju“¹⁾.

Za taką ligą wzdycha świat współczesny, ale czy ją zdoła powołać do życia? Czy mamy serca wrażliwe na to piękno duchowe, które się nam w osobie Franciszka z Assyżu objawiło? Bo czemuż on uderzył ludzi i oczarował? Tem, że wyuwszy siebie ze wszystkiego, co świat za warunek szczęścia uważa, w wyzuciu się tem najwyższe szczęście znalazł. Dwie rzeczy, z pozoru wykluczające się wzajemnie — absolutne ubóstwo i niezmacone szczęście — zlały się u niego w nieznaną przedtem, cudowną całość, wylewając się na zewnątrz ową promienną radością, którą porывał sam i której wymagał od uczniów swoich. „Niechaj ci, co należą do szatana — wołał — chodzą z głową spuszczoną; my radujmy się w Panu, radością, co płynie z modlitwy i serca czystego!“ I ta święta radość uniosła Franciszka na wysokość niedostępną dla innych — ale stamtąd świecił światłem, które zapalało najlepsze w sercach ludzkich uczucia — i duch franciszkański uratował wówczas ludzkość, przeciwważył zło w Kościele, wyrwał herezjom ich broń.

A dziś? Kto przed laty 20—30 był w Krakowie i brał udział w życiu literackim i politycznym, tego uderzała — zwłaszcza za pierw-

¹⁾ E. Gebart: „L'Italie mystique“, por. s. 128.

dziło się z ideologii „Teki Stańczyka”. Te nenufary Buszczyńskiego, odbite w tafli zamętu światowego, ustrojone przez jego dzisiejszych epigonów czy epigona w ornamentację lekkości językowej, pokrywające pozorami wiedzy chroniącą się w każdej fałdzie tendencją polityczną, wkraady się w wiele serc, hypnotyzowały je i przybierały postać kanonów, robiąc z Polski na nowo mesjaniczną pokutnicę, ukrzyżowaną dzięki tylko chciwości i przewrotności bezwzględnych sąsiadów. Społeczeństwo obdarzone podobnie osobliwą ewangelją historjozoficzną, odczyszczone z grzechów, wyniesione na poziomy doskonałości, jako najętszy wykwit urzędów prawnych, administracyjnych, konstytucyjnych, otoczone aureolą, rzucającą blaski nawet na jego skazy, wady, ułomności i ciężkie błędy, mogło wszystkie ujemności podług zbawiennych recept uważać za cnoty cnot, a zatem dążyć z równą pasją i niefrasobliwością do przekreślenia własnego bytu samodzielnego, jak to już raz uczyniło skutecznie. Jakoż widzieliśmy w ciągu trzeciecia wskrzeszonej Polski ogromne analogie i powtórzenia bezecności, które unicestwiły dawną Rzeczpospolitą. Kto uważnie wczytał się w „Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta” i „Sejm Wielki” Kalinki, kto studjował polskie dzieła Waliszewskiego, następnie Bobrzyńskiego, Wegnera, Jarochońskiego, Smoleńskiego, dostrzeże łatwo, jak utrapione widma zgnilizny i samolubstwa, przystrojone w błyskotliwe blaski patriotyzmu, grające na nim i wzbogacające się przezeń, przechadzały się i przechadzają znowu po krążgankach narodowego życia doby bieżącej. Te same niemal fakta, ta sama rozpusta, łapigroszowstwo i trędowatość moralna wypełzły znowu na słońce, rządzą się, rej wodzą, poprzedzane przedziwną historjozofją, zupełnie tak, jak Szymon

Majchrowicz i Dębiński wraz z innymi domorosłymi Sokratesami zostali prekursorami saskiej swywoli i Stanisławowsko-Augustowskiego zmierzchu.

Dlatego refleksje premiera w starożytnym Krakowie, po którym bląkają się duchy Długoszków, Kallimachów, Szujskich, w którego katedrałnych sklepieniach wiekuje Batory, wielki towarzysz pracy wielkiego Zamojskiego, symbolu nieugiętej władzy wobec oligarchji i ochlokracji—tłumu, są czynem orzeźwiającym ze stanowiska państwowego. Bo tu już nie mędrzec ze „szkiełkiem w oku”, wydobywający prawdę z pożółkłych archiwaliów mówi gwoli uświadamiania rodaków, tylko ten, kto dzierży moc wykonawczą, zaczem zdolen jest zasady głoszone przeprowadzić w czyn i nie kazać im zawisnąć na rubieżach teoretycznej myśli.

Wśród innych wywodów żalił się premier na brak w nas i u nas szacunku dla własnego rządu. Obracając się w zestawieniach między przeszłością a terażniejszością, zawadzając o właściwości naszej psychologii w ramach poniekąd lekcji poglądownej napomknął, że osoba bodaj króla była w estymie skutkiem oddziaływania tradycji, pietyzmu czy nawyknienia do etykiety dworskiej. To złagodzenie rzeczy w chęci stworzenia przeciwstawienia do chwili obecnej, nie może uchodzić za walor naukowy. Pomijając już Piastów czy pierwszych Jagiellonów, dynastów na wzór średniowieczny, cała skala cierpień zwała się na głowy nasze koronowane pod osłoną racji stanu lub wprost braku pietyzmu dla pomazańca narodowego. Zakosztował goryczy Zygmunt August z powodu małżeństwa z Radziwiłłówną, a wprost w niej ugrzązł Walezy, który z okien swych komnat zamkowych mógł widzieć, jak na murach rozlepiano paszkwile, bezczeszczące jego

szym razem — na zebraniach męskich u Pawła Popiela, u Ludwika Michałowskiego szlachetna, surowa postać starca w szarym siermiężnym habicie zakonnym. Był to brat Albert Chmielowski. Z zawodu artysta-malarz, uczestnik powstania 63 roku, w którym postradał nogę, człowiek z wysoką i wszechstronną kulturą, rzucił wszystkie powaby świata, poślubił, jak św. Franciszek, świętą Panią, Ubóstwo i oddał się służeniu tym wyrzutkom, bezdomnym i włóczęgom, których życie postawiło poza nawiasem społeczeństwa. Byli mu szczególnie bliscy, — żartobliwie mawiał — jako natury artystyczne, z których w innych warunkach i otoczeniu wyrosłiby wytworni światowcy, może nieraz z iskrą rzeczywistego talentu. Zakładał dla nich przytulki nocne i domy pracy. Przykładem swoim pociągnął wielu, stał się jakby polskim Franciszkiem z Assyżu, wznosił jego Zakon tercjarski, stworzył ognisko cnoty i ofiary, ale nie stworzył wielkiego ruchu. Znadto dalecy jesteśmy od tego ducha, który chwałą był wieku XIII.

Cywilizacja, stojąca na badaniu i ujarzmianiu natury, na wydobywaniu z niej wszystkiego, co ona dać może człowiekowi, na przeistaczaniu jej w nieusychające źródło materialnego dobrobytu, wypiełgnowała taki stan duszy, przy którym ideał franciszkański wydaje się nie, jak za czasów Franciszka, czemś dziwnem, trudnem

i przez trudność swoją odstręczającym dusze leniwe, ale wydaje się poprostu absurdem, niczem innym, jak absurdem. Cywilizacja dała możliwość—mówimy naturalnie o warstwach uprzywilejowanych—dogadzania każdej najpodlejszej zachciance i włoski historyk Ferrero ze zgrozą stwierdza, że co świat starożytny nazywał korrupcją, co pisarze szczęśliwej, świetnej epoki ces. Augusta z niepokojem piętnowali, jako objawy upadku i zwiastuny śmierci, to my dziś nazywamy postępem¹⁾. I w dobrobycie, w koinforcie, w rozkoszach i zbytkach postępu grzązł świat, w którym żyliśmy, a było nam tak dobrze, tak błogo, że strach poczynął ogarniać tych z pośród nas, co patrzyli głębiej, i z trwogą pytaliśmy, czy może to trwać, czy nie jest to przeciwne prawom Boga, natury, historii, czy ten świadomy i nieświadomy kult materji, będący zaprzeczeniem najgłębszych potrzeb ducha, nie wywoła wielkiego wstrząśnienia, strasznej katastrofy, która w straszny sposób obudzi człowieka z jego podłego snu.

I przyszła wojna. O wojnę narodów modlił się Mickiewicz, bo ona miała dać wolność Polsce. I rzeczywiście dała nam ona tę wolność, której nikt tam, poza nami nie spodziewał się, nie chciał, która nie leżała ani w planach, ani

¹⁾ G. Ferrero: „Le génie latin et le monde moderne”. Paris, 1917.

galijską ojczyznę i jego samego w sposób najbardziej grubo i bezwzględny. Nic dziwnego, — że uginając się pod brzemieniem napaści, nosił cierniową koronę niby „skalę na głowie“ i do znudzenia powtarzał, że „wolałby raczej w niewoli żyć we Francji, niż wolny w Polsce.“ Ani rokosz Żebrzydowskiego ani Jerzego Lubomirskiego, urządzony przy tłumnym udziale braci szlacheckiej przeciw dwóm legalnym monarchom, nie dokumentował wcale czci dla majestatu, a już Jan III chodził po Golgocie, narażony na ustawiczne spiski detronizacyjne i docinki, uwłaczające jego uczciwość i honorowi. Przecież Rafał Leszczyński, wojewoda poznański, przestrzegał go jawnie i w dodatku niesłusznie z powodu małżeństwa Karoliny Radziwiłłówny z elektorowiczem brandenburskim i wynikającej stąd obawy dostania się dóbr nieświesko-otyckich w cudze posiadanie, aby sprawy „kryminalnej“ nie zamieniał na „krumenalną“, t. j. sakiewkową, pomawiając majestat o wzięcie... porękawicznego... Przecież ten sam Jan odzywał się o jednym ze swoich przeciwników: „niech król zostanie żydem, to on chrześcijaninem...“, przecież on dotknięty do żywego udręką rozpaczał: „małe troski krzyżą, duże kamienięją; jeszcze dni czterdzieści a Niniwa rozsypie się w proch!“ W przedzgonnych zaś chwilach rzekł do biskupa Żaluskiego: „widzisz za życia nie chcą mię słuchać, będąż po śmierci?..“ Potem swywoła rozpałała wszystkie kaganki, podeptała gronostaje marnych Sasów i spawiała się nad Stanisławem Augustem. Wszakżeż Fałstaff narodowej tragedji, Radziwiłł „Panie Kochanku“, dał sobie na bramie słupskiej w Nieświeżu wyręć napis: „Za panowania Karola II“, wszakżeż długi czas koronowanego pana swego *coram publico* nazywał „ekonomicznym synem“, wszakżeż straszyl

go przeparciem wyboru nielejalnych posłów o ile Maciej Radziwiłł nie otrzyma podkomorstwa litewskiego, no i wymusił swoje, chociaż Poniatowski rzucił mu w oczy ostrzeżenie: „czego nie wyprosisz, tego nie wygrozisz“... Gdzie tam!

W tem wszystkiem niema śladu poszanowania majestatu.

Mimo to i właśnie dlatego nawoływanie naczelnego ministra, odchylenie rąbka przeszłości choćby nawet w sposób nie będący w poszczególnym punkcie najwierniejszem odbiciem historii, tylko szukaniem kontrastu do współczesnych nastrojów, jest czynem na wskroś obywatelskim, sięgającym poza zwykłą miarę t. z. mów politycznych. Społeczeństwo musi przedewszystkiem z ufnością odnosić się do własnego Rządu, jako do godła państwowości, inaczej wyrzecz się siebie i pójdzie na manowce anarchji. Rzeczą natomiast Rządu jest istotnie rządzić, nie panować i wymóżyć posłuszeństwo dla swoich zamierzeń i czynów. Siłą naszą może być jedynie żelazna władza, naszym nieszczęściem i rozkładem wszelkie pozory mocy.

Ernest Łumiński.

„Rzeczpospolita” a R. S. F. S. R.

„Prawda“ moskiewska prowadzi stałą kampanję przeciwko Naczelnikowi Państwa Polskiego i polskim władzom wojskowym, oskarżając polskie czynniki odpowiedzialne o łamanie Traktatu Ryskiego, o politykę prowokacyjną wobec Sowietów, o spiskowanie z Petlurą i t. d. Jest to naturalne i zrozumiałe: organ sowiecki wspiera akcję dyplomatyczną sowietów, mającą na celu uzasadnić i usprawiedliwić niedotrzymanie ze strony

w przewidywaniach wojujących stron, ich kierowników politycznych, ich wodzów wojskowych. I na straży tej wolności, którą już nam odebrać chcą, musimy stać i o zachowanie jej walczyć z całym wysiłkiem. Ale zapomnijmy na chwilę o tym przypadkowym owocu wojny, jakim jest niepodległość nasza, a spójrzmy na wojnę ze stanowiska tych spustoszeń, tych cierpień i łez, które ona niosła. Kto tu zawinił? Nie ces. Wilhelm, jak o tem wniebogłoso krzyczano. Ani on, ani żaden z tych, którzy u steru świata stali, jej nie chciał, lecz wszyscy wiedzieli, że przyjdzie.

Bo chciał jej, nie zawsze zdając sobie sprawę z tego, zdeprawowany człowiek współczesny; tej podniety potrzebowały jego zużyte, stępsiałe nerwy i w tym stanie utrzymywała go ze zbrodniczą lekkomyślnością ta trapiąca świat kłeska, ten wytwór pośpiechu i gorączki cywilizacyjnej, jakim jest prasa codzienna. Ona robiła atmosferę, w której lada iskierka wywołać mogła straszliwy pożar.

Pożar przyszedł i przeszedł; niszczył, gnębił, burzył trony i państwa, wstrząsnął, ale czy obudził sumienia? Niestety, nie obudził. Mówię to „bom smutny i sam pełen winy“ — i słowa te każdy z nas mógłby za wieszczem powtórzyć. Szaleje świat i jak przed tem, tak teraz, lecz w przyspieszonym, jakimś warjackiem *tempo* tań-

czy przed cielcem złotym i tańcząc, pędzi w przepaść. A my filozofowie patrzymy i piszemy książki o upadku cywilizacji zachodniej, o konaniu Europy, o blizkich dniach panowania rasy żółtej z nowym Czyngishanem na czele...

Ale jeszcze nie załamujemy beznadziejnie rąk, bo pod powłoką obrzydliwości widzimy gdzieś — i u nas także — tlejące zarody wyższych uczuć. Trafnie powiedział Sabatier, że zawsze, w każdym miejscu i o każdej chwili dadzą się odszukać liczne dusze, zdolne do wszystkich heroizmów, pod warunkiem, że znajdą wodza, który je poprowadzi. Tym oczekiwanym wodzem był w swoim czasie Franciszek z Assyżu — i wszystko, co najlepsze, rzuciło się za nim. Mamy prawo wierzyć, że może pojawią się i teraz ludzie z genjuszem religijnym Franciszka. Do wiary tej uprawnia to, że stoimy tu, w kraju naszym, na gruncie już przygotowanym pod posiew przez poezję i filozofję naszą. I może w nowej, do czasów naszych dostosowanej formie, ujrzymy jeszcze myśl wielkiego świętego. A tylko przez nią, przez afirmację dostojności ubóstwa, wydobędzie się świat z błota materializmu, w którym tonie.

M. Zdziechowski.

bolszewickiej zobowiązań Traktatu. Jest natomiast rzeczą mniej naturalną i zrozumiałą, że to samo, co „Prawda” w Moskwie, robi „Rzeczpospolita” w Warszawie, i że z sukurem p. Karolowi Radkowi przychodzi p. Stanisław Stroński.

Z powodu ostatniej wymiany not między Rzeczpospolitą Polską a republiką Sowiec „Rzeczpospolita” warszawska staje bez ogródek po stronie republiki sowiec, a p. St. Stroński tak dalece solidaryzuje się z punktem widzenia dyplomacji bolszewickiej, że polemizując z Rządem Polskim, powołuje się na notę sowiecką, jako na źródło, nie budzące żadnej nieufności, a w końcu nawet mówi wprost słowami autorów tej noty.

Aby nie posądzono nas o jakąkolwiek bądź przesadę w tym kierunku, przytaczamy dosłownie dłuższe ustępy z artykułu p. Strońskiego p. t. „Trzeci raz” w № 306 „Rzeczpospolitej” (wydanie poranne):

„P. Szumski d. 28 października a p. Karachan d. 29-go października zawiadomili p. Skirmunta, że oddziały Petlury z różnych obozów w Polsce tworzone przechodzą przez Zbrucz i wywołują tam walki zbrojne, na co p. Skirmunt w nocy z d. 30-go października odpowiedział, że o współdziałaniu władz polskich mowy być nie może, oraz że Min. Spr. Wew. i Min. Spr. Wojsk. zwiększa nadzór nad Zbruczem.

Lecz równocześnie d. 30-go października Ukr. Rząd Sow. wysłał szczegółową notę, podpisaną przez p. Rakowskiego, w której podane są dokładne wiadomości o tych ruchach i szereg nazwisk.

Otóż, chociaż p. Minister Skirmunt w nocy swej do p. Karachana z dnia 3-go b. m. uznał „ujęcie w formie stosunkowo poważnej i spokojnej zagadnień poruszonych w nocy Przedstawicielstwa Ukraińskiego z dnia 3-go października”, jednak tej właśnie najważniejszej noty do dziś dnia M. S. Z. nie podało do wiadomości, chociaż zwyczajnie ogłasza się ją wraz z własną odpowiedzią, a tę ogłoszono dnia 4-go b. m.

W nocy tej (której wszystkie ustępy, zawierające dokładne dane, ogłasza dzisiaj nasze pismo, gdyż niepodobna ukrywać przed krajem not, rozpowszechnianych wszędzie za granicą) podano wiadomości bardzo szczegółowe z datami, liczbami, nazwiskami.

Na takie twierdzenia nie można odpowiadać ogólnikami. Ukraiński Rząd Sowiec powiada, gdzie, kiedy i kto przeszedł Zbrucz z polskiej strony na tamtą, a odpowiada mu się na to, że głównym ogniskiem obecnych zaburzeń jest Ukraina Centralna i że do Zbrucza oddziały zbrojne podchodzą od wschodu, co oczywiście jest nie-szczególnie dowcipne, bo trudno, aby oddział, który się raz już przeprowadził przez Zbrucz w jednym miejscu, podchodził doń w innym miejscu znowu z zachodu a nie ze wschodu. Tu trzeba jasno wykazać, że w Polsce tych oddziałów nie tworzą i że z Polski się one nie przeprowadzały przez Zbrucz.

Inaczej sprawy się nie wyjaśni i nie posunie naprzód.

Dzisiaj bowiem przedstawia się ona tak, że z ramienia Przedstawicielstwa Ros. Sowiec, które dnia 1-go b. m. poparło notę ukraińską, p.

Oboleński w ostatniej krótkiej nocy z d. 4-go b. m. mówi o ostatniej odpowiedzi polskiej:

„...odpowiedź ta nie zawiera obalenia faktów, wspomnianych przez nas w nocy z dnia 1-go b. m. i posiada na tyle formalny charakter, że zniewała nas do pozostania przy naszym zdaniu, wyrażonem we wspomnianej powyżej nocy z d. 1-go b. m. i zastrzeżenia sobie prawa z wyciągnięcia z niego odpowiednich wniosków”.

Gdybyśmy nie uprzedzili czytelnika, skąd ten ustęp, to z pewnością czytelnik myślałby, że to ustęp z artykułu publicysty sowieckiego, uzasadniającego stanowisko rządu Sowiec w sporze z Rządem Polskim.

Ale zajrzyjmy teraz do noty sowieckiej, której wszystkie ustępy, zawierające „dane dokładne”, ogłasza „Rzeczpospolita”.

Znajdujemy tam między innymi także „dokładne dane”:

„Z zeznań wziętych do niewoli bandytów wynika, że bandy te przybyły w ilości czterech transportów w wagonach, dostarczonych im przez Władze Polskie, z rejonu Czortków — Kopyczyńce, w którym to rejonie — na terytorjum Polski — zorganizowały swój sztab”.

W drugim ustępie czytamy:

„Mieszkańcy miejscowi zeznają, że bandyci wieźli ze sobą wielką ilość broni, którą rozdawali szczydrze — po dwa karabiny na osobę — każdemu, kto zechciał, i rozpowszechniali rozkaz mobilizacyjny w imieniu t. zw. Ukraińskiej Republiki Ludowej”.

Wiemy dobrze, jak w „czerezwyczajkach” wydobywają zeznania z wziętych do niewoli. I jeżeli wzięty na tortury powstaniec ukraiński, zmuszany powiedzieć, od kogo otrzymał broń, wskazuje na bandytów, którzy przyszli z Polski, być może ratuje w ten sposób swoich, temu dziwić się nie można.

„Z innych źródeł dowiadujemy się... Z jakich źródeł, o tem nawet nie wspomina nota, ale „Rzeczpospolita” nie wątpi, że źródła są dobre. Nota komunikuje Rządowi Polskiemu nowy spis „głównych i najbardziej aktywnych organizatorów band”. Można więc oczekiwać, że Sowiety znów zażądadą wydalenia z granic Polski szeregu osób. Czy i tu „Rzeczpospolita” przyzna im rację? i

W nowym probolszewickim kursie polityki wschodniej „Rzeczpospolita” zapomina nawet o tem, co dotychczas było niezachwianym kanonem jej orientacji politycznej: o zasadzie uzgodzenia polityki polskiej z francuską. Przecie swoim przeciwnikom „Rzeczpospolita” ustawicznie robiła zarzuty, że chcą politykę polską prowadzić na samodzielne, niezależne od Francji tory i tem narażają przyjaźń polsko-francuską, która jest niezbędnym warunkiem pomyślności dla Polski. Nawet w ostatnim jeszcze numerze „Rzeczpospolita” ten zarzut powtarza pod adresem „Kurjera Polskiego”.

Tak, zawsze trzeba iść razem z Francją, ale nie wówczas, gdy chodzi o stosunki z Sowietami. W tym wypadku „Rzeczpospolita” radzi wzorować się nie na Francji, która nie uznaje Sowietów, i powstrzymuje się od stosunków handlowych, a na Niemczech, którzy po cichu robią interesy w Sowdepji. Oto co pisze „Rzeczpospolita” w artykule p. Strzetelskiego (№ 305):

„Fakt, że Niemcy rozpoczynają swoje stosunki z Sowietami bez wielkiego hałasu i dyskretnie, że pierwsze kroki swoje skierowali ku kolejom i że dzieje się to pod dyskretnym ale widocznym protektoratem rządu berlińskiego — powinienn otworzyć oczy tym wszystkim, którzy uregulowanie stosunków swoich z Rosją odkładają — na później.

Nie trzeba się ludzi! Ten, kto dzisiaj dostarcza Rosji Sowieckiej parowozy z niewątpliwym zamiarem budowania tam później linii kolejowych i uzależnienia od siebie kolejnictwa, ten nawiązuje stosunki również z — przyszłą Rosją.

Zrozumiały to dzisiaj Niemcy. Uroczystość, która przed kilku dniami odbyła się w wagonie restauracyjnym na linii Moskwa—Petrograd i wygłoszona tam mowa prof. Wiedenfeldta posiadają mimo a może dzięki swemu dyskretnemu tonowi bardzo ważne znaczenie. Warto, aby sprawy te przemyślało nasze Ministerjum Spraw Zagranicznych i ci wszyscy, których inicjatywę usypia legenda o... przyszłej, trzeciej Rosji“.

„Legenda o trzeciej Rosji“, to znów insza sprawa, ale jeżeli tak dalej pójdzie, to czy nie stanie się również legendą i przyjaźń z Francją?

Nasze obowiązki wobec Górnego Śląska.

Wyrok Ligi Narodów pozostawił poza granicami Polski ogromną, około ośmiusettyśieczną rzeszę ludu polskiego, oddając ten lud na pastwę ponownych ulepszonych metod germanizacji. Rząd i społeczeństwo polskie już dziś muszą obmyśleć środki, któreby nie tylko utrzymały przy narodzie tę część ludności, która głosowała za Polską, lecz odzyskały dla kraju serca tych nieuswiadomionych narodowo Polaków, którzy obafamuceni agitacją niemiecką i zastraszeni terrorem stosztruplerów głosowali w czasie plebiscytu za Niemcami. Zadanie to trudne. Mamy bowiem do czynienia z przeciwnikiem silnym liczebnie i ekonomicznie, który nie zawaha się rzucić na szalę walki swej przewagi materialnej i organizacyjnej. Przyjdzie mu to tem łatwiej, że posiada na Górnym Śląsku cały aparat władzy państwowej i potężne związki przemysłowców, kupców i wielkich obszarników. Już dziś widoczne są objawy, że Niemcy, aczkolwiek pozornie zgodzili się na wyznaczenie delegatów do komisji polsko-niemieckiej, mającej przeprowadzić rozgraniczenie i umowę gospodarczą, to jednak wysilają się na robienie nam dalszych trudności gospodarczych, a samo rozgraniczenie będą się starali możliwie przewlekać. Redaktor najpoczytniejszego niemieckiego dziennika „Berliner Tageblatt“ Teodor Wolf, wprost pisze, że najbliższem i najważniejszym zadaniem Niemiec jest sojusz z Rosją i zniszczenie gospodarcze Polski. O tem, żeśmy zresztą wiedzieli, ale Wolf w ataku furji teutońskiej poszedł może dalej, niż by to jego zwolennicy ujawnić chcieli. Nie ulega kwestji, że Niemcy wyteżą wszystkie siły, aby zniszczyć polskość w tych gminach, które im na mocy decyzji Ligi Narodów przypadły, a jednocześnie będą się starali utrudnić pracę w tych kopalniach, hutach i fabrykach, które dostały się

Polsce, nie cofając się nawet przed niszczeniem całych kopalń i hut.

A więc 28 października spaliły się w powiecie Rybnickim dwa szyby kopalniane i są dane, przemawiające za tem, że szyby te podpalili Niemcy.

Zresztą nie potrzebują się oni uciekać do podpalań i gwałtów, aby nam gospodarkę utrudnić: mają oni dotąd w swych rękach cały tabor kolejowy i główne węzły kolejowe, co spowoduje, że takie miasta, jak Tarnowsk. Góry i Lubliniec, odcięte będą od Katowic i całej południowej części kraju, ponieważ kolej prowadzi przez Bytom, który pozostał w rękach niemieckich. Wypłata robotnikom może też być w każdej chwili wstrzymana, ponieważ pieniądze do wypłaty nadsyłają banki wrocławskie i berlińskie.

W części kraju, który nam przypadł, jest masa uciekinierów z powiatów rolniczych. Ludzie ci, nie mając zajęć i niepokojąc się o los swych rodzin, z natury rzeczy są rozgorzyczeni, i społeczeństwo musi im przyjść z pomocą. Niemcy na tych właśnie rozgorzoczonych elementach budują swój plan rujnowania Polski i sabotowania uchwały genewskiej. Jeden z rzeczoznawców niemieckich w Genewie, wracając stamtąd na G. Śląsk, powiedział, że Niemcy pozornie mają żyć w zgodzie z Polakami, lecz jednocześnie będą im robić trudności gospodarcze, siać właśnie i rozgorzyczenie wśród różnych odłamów polskiego społeczeństwa, nie cofając się nawet przed prowokacją, przekupstwem elementów słabszych i t. p.

Słowem, musimy się przygotować na długą i trudną walkę, aby ratować byt Polaków w powiatach północno-zachodnich, szczególnie zaś nadodrzańskich.

Aby ta walka była skuteczną, społeczeństwo polskie na Górnym Śląsku podobnie, jak dotąd, musi być solidarne w zwartym szyku obrony przed atakami niemieckimi.

Rozumieją to tamtejsi wybitniejsi działacze narodowi, i obowiązek swój spełnią, ale Polacy z całej Rzeczypospolitej muszą im w tem przyjść z wydatną moralną — szczególnie zaś materialną pomocą. Musimy pamiętać, że Górny Śląsk jest krajem niezmiernie bogatym, ale tamtejsza ludność polska jest narazie przynajmniej i — niema się co ludzi — przez czas dłuższy jeszcze pozostanie bardzo biedną. Jest to bowiem przede wszystkim proletarjat przemysłowy i rolny, oraz małorolni wieśniacy, zdani na łaskę przemysłowców i obszarników.

Otóż materialna pomoc dla tej polskiej ludności przynajmniej w pierwszym okresie utrwalania się państwowej władzy polskiej będzie wprost niezbędna.

Cała Polska w okresie plebiscytu dała dowody, że zagadnienie górnośląskie rozumie i wie, iż poza ludem polskim, odwiecznie Górny Śląsk zamieszkującym, kryją się tam skarby ziemne, które wyprowadzą kraj z trudności gospodarczych. Ale do tego trzeba czasu. W okresie przejściowym przejmowania gospodarstwa z rąk niemieckich potrzeba trzech rzeczy:

1. Nie usuwać tych Niemców, którzy zechcą i mogą współpracować w zgodzie i harmonji z Polakami, a jednocześnie bezwzględnie usuwać tych, którzy w myśl wskazówek Wolfów będą

się starali rujnować gospodarstwo i wogóle utrudniać i bez tego trudne początkowo nasze stanowisko.

2. Przyjść z szybko pomocą tym rodakom naszym, którzy zmuszeni byli uchodzić z powiatów rolniczych i narazie nie znaleźli sobie jeszcze pracy; należałoby wyrzucić na Niemców presję, aby umożliwili wygnańcom naszym spokojny powrót do ich dawnych siedzib. Jest to konieczne dla podtrzymania ducha narodowego w powiatach nadodrzańskich i północnych, pozbawionych obecnie działaczy narodowych. Presję odwetową na Niemców możnaby wyrzucić nie tylko w obwodzie przemysłowym Górnego Śląska, ale i w Poznańskim i na Pomorzu, przyczem rzecz prosta odwetowi polskiemu byłiby poddani jedynie Niemcy znani z hakatyżmu.

3. Niezwłocznie należałoby pomyśleć o zapasach surowców niezbędnych dla podtrzymania ruchu w kopalniach i hutach, oraz aprowizacji dla robotników. W okresie agitacji twierdziliśmy, że wyżywić robotników i dostarczyć rudy dla hut żelaznych, oraz drzewa dla odbudowy kopalń może tylko Polska. Twierdzenie to jest słuszne, jeżeli się uwzględnią zapasy tych surowców, że tak powiem potencjalne. Polska posiada około 600.000.000 tonn zapasów rudy żelaznej, nie licząc znacznej ilości rudy darniowej, zawierającej fosfor, a więc zdolnej do przeróbki w posiadających piec tomasowskie hutach górnośląskich. To samo się tyczy drzewa dla odbudowy kopalń, którego Polska posiada zapasy wielkie. Ale w chwili obecnej zarówno eksploatacja rudy, jak drzewa jest bardzo niedostateczną, szwankuje też transport tych artykułów. Staje się więc palącą wprost potrzebą wydane zwiększenie wydobycia rudy i eksploatacji drzewa i dostawa ich w szybkim tempie na Górny Śląsk dla hut i kopalń. W przeciwnym razie nawet bez złej woli Niemców całemu przemysłowi górnośląskiemu grozi zastój i ruina, a całej Polsce olbrzymia kompromitacja. Szczególniej palącą jest kwestja rudy: przed wojną całkowite zużycie rudy w hutach górnośląskich wynosiło około 1.400.000 tonn. Rudy tej dostarczała głównie Szwecja (około 720.000 tonn) następnie szły ówczesne Niemcy, które w roku 1913 dostarczyły około 330.000 tonn, w czem około 80.000 tonn rudy darniowej pochodziło z G. Śląska, dalej sam Górny Śląsk dał około 175.000 tonn niskoprocentowej rudy. (W roku 1920 produkcja wynosiła już tylko 68.000 tonn). Resztę dały Węgry, b. Kongresówka, Rosja i inne kraje.

Dziś Niemcy straciły około 18.000.000 tonn rocznej produkcji rud w Lotaryngji około 6.000.000 tonn w Luksemburgu. Niemcy w granicach dzisiejszych wydobuły w roku 1913 około 6.000.000 tonn rudy żelaznej; jest to suma bardzo niewielka, jeżeli się zważy, że z produkcji surowca w roku 1913 około 18.000.000 tonn pozostało przy Niemcach obecnie około 11.000.000 tonn (licząc ciągle produkcję przedwojenną). Czyli Niemcy będą miały wielki kłopot z dostawą rudy dla swych hut westfalskich, oraz środkowo i północno-niemieckich. Nawet więc przy dobrych chęciach nie będą mogły dostarczyć rudy dla hut górnośląskich, a chęci tych nie będą miały nie tylko ze względów nam wrogich, ale i z powodu długiego i drogiego transportu, oraz z tego powodu, że pro-

dukacja hut górnośląskich kalkuluje się znacznie drożej, niż produkcja hut nadreńskich. Szwedzka lub wogóle zagraniczna ruda z powodu drożyzny szwedzkiej waluty też jest prawie niedostępna, pozostaje więc ruda polska, której zwiększona eksploatacja i dostawa na Górny Śląsk staje się wprost narodowym przykazaniem dla rządu i przemysłowców polskich. Czy to przykazanie rząd i przemysłowcy polscy w swej polityce gospodarczej uwzględnili? Mamy potemu poważne wątpliwości. Produkcja rudy żelaznej w b. Kongresówce, wynosząca w r. 1913 około 400.000 tonn, nie wystarczała na potrzeby hutnictwa w b. Królestwie, i hutnictwo to dwie-trzecie swego zapotrzebowania pokrywało rudą sprowadzaną z Rosji. Dziś wydobycie rudy w b. Kongresówce stanowi tylko $\frac{1}{4}$ część wydobycia przedwojennego (w roku 1920 około 100.000 tonn) i na potrzeby hut górnośląskich absolutnie nie wystarcza. Pokłady tej rudy są jednak wielkie i rząd musi się zająć sprawą jej wydobycia sam, jeżeli przemysłowcy dotąd o tem należycie nie pomyśleli.

Podobnie się ma sprawa z drzewem dla odbudowy kopalń. Drzewa tego w roku 1920 same tylko kopalnie węgla bez kopalń rudy cynkowej, ołowianej i żelaznej zużyły 944.726 metrów sześciennych. Zapotrzebowanie tego drzewa bez trudu mogłyby pokryć lasy polskie, z warunkiem jednakże, aby sama eksploatacja w lasach i dostawa były należycie zorganizowane. Nie mniej ważną staje się kwestja zaopatrzenia kopalń, hut i fabryk górnośląskich w niezbędne maszyny i narzędzia szczególnie precyzyjne. Maszyn takich i narzędzi Górny Śląsk, szczególnie zaś część nam przypadająca wyrabiała bardzo mało. Przemysł i hutnictwo górnośląskie były ciężkie (Schwerindustrie); wyrabiano przede wszystkim półfabrykaty, ulegające dalszej przeróbce w fabrykach niemieckich, które wzamian dostarczały kopalniom, hutom i fabrykom górnośląskim niezbędnych maszyn, szczególnie zaś elektrycznych i narzędzi precyzyjnych. Dziś tej roli muszą się podjąć fabryki polskie, szczególnie zaś takie, jak Gerlach i Pulst w Warszawie lub John w Łodzi. Produkcja ich jednak napewno nie wystarczy i należałoby w porę pomyśleć o dostawie maszyn i narzędzi z fabryk wiedeńskich, czeskich lub węgierskich, jeżeli Niemcy będą robili trudności w dostawie swoich maszyn i narzędzi.

To byłyby najbliższe zadania naszej polityki gospodarczej na G. Śląsku. W przeprowadzeniu jej, a szczególnie zaś polityki społeczno-robotniczej należałoby się oprzeć na potężnych polskich związkach zawodowych. Imponują one zarówno liczebnością, jak sprawnością, szczególnie Polskie Zjednoczenie Zawodowe. Świadczą o tem następujące cyfry:

W połowie roku bieżącego we wszystkich kopalniach węgla, rudy cynkowej, ołowiowej i żelaznej było zatrudnionych około 193.000 robotników, w tem na część Górnego Śląska przyznaną Polsce przypada około 155.000 to jest około 80%. Z liczby tej w Polskiem Zjednoczeniu Zawodowem było zorganizowanych około 76.000, to jest około 50%, w Centralnym Związku Zawodowym (P. P. S.) około 28.000, w niemieckich związkach socjalistycznych około 17.000. Reszta była nie-

zorganizowanych, przyczem Polaków niezorganizowanych było około 20.000.

Podobnie imponująco przedstawiają się związki metalowców. Obejmują one robotników hut, fabryk żelaznych i metalowych oraz niektórych fabryk chemicznych i papierni. Robotników tych było ogółem, 85.000 z tego około 60.000 przypada Polsce (około 71%) i tu Polskie Zjednoczenie Zawodowe zorganizowało w Związku Metalowców około dwóch-trzecich, ogólnej ilości robotników.

Powyższe cyfry i bliższa znajomość z życiem organizacji polskich na G. Śląsku wskazują, że w polityce gospodarczo-społecznej należy narazie unikać napływu elementów z poza Górnego Śląska.

Stanowiska opróżnione ewentualnie przez Niemców należałoby przede wszystkim obsadzać Polakami miejscowymi, których wśród działaczy związków zawodowych i plebiscytowych znajdzie się pokaźna ilość. Ewentualne luki, szczególnie w szkolnictwie i sądownictwie, należałoby zapęłnić przede wszystkim Wielkopolanami i Pomorzanami, a na ich miejsce w razie potrzeby wysłać do Wielkopolski i Pomorza królewaków i małopolan. Na Górnym Śląsku szczególnie na początku, gdy wrażenia najsilniej w świadomości mas ludowych utrwalają się będą, należałoby unikać polityki drażnienia przez zbyt gwałtowne zmiany gospodarcze, społeczne, administracyjne, lub choćby tylko personalne. Dotychczasowa polityka nasza to górnoślązkom gwarantowała; należy ją prowadzić dalej, pozostawiając czasowi unifikację, która jednak przyjdzie jako naturalny proces rozwojowy.

Inż. Aleksander Ringman.

Umowa polsko-czeska.

Umowa z Czechami jest aktem wielkiej doniosłości politycznej: 1) załatwiając sąsiedski spór polsko-czeski chociażby na dzień dzisiejszy, utrwala dzieło pokoju i odbija się dodatnio na życiu gospodarczym; 2) osłabia pierścień nienawiści narodowych, otaczający Polskę i tem wzmacnia międzynarodowe stanowisko Polski (wzmacnia jej stanowisko i wobec prowokującej i bezczelnej polityki Sowietów); 3) utrwala sojusz polsko-francuski i polsko-rumuński; 4) stwarza lepszą koniunkturę polityczną w sprawie Galicji Wschodniej.

Z tem każdy się zgodzi, ale czy na tem się kończy znaczenie ugody polsko-czeskiej? Czy też ma ona większą doniosłość historyczną i jest zwrotnym punktem w polityce polskiej? Jest to zagadnienie, które stoi obecnie przed polityczną myślą polską.

Z głosów, które w tej sprawie już się wypowiedziały, notujemy dwa jaskrawo sprzeczne: p. Ad. B. Dostała w „Kurjerze Warszawskim” i „Nowej Reformy”.

„Kurjer Warszawski” (dnia 7 listopada) chce w umowie polsko-czeskiej właśnie widzieć zwrotny punkt w stosunkach dwóch narodów i zapoczątkowanie nowej ery:

„Może i powinna być ona początkiem nowej ery w dawniej tak przyjaznych, szczerzej sympatji pełnych, i dopiero w ostatnich latach przez dziwną, tragiczną złośliwość losu zatrutych stosunkach między Warszawą a Pragą, między narodami polskim

a czeskim. Z tego punktu widzenia przynajmniej należy zapatrywać się na znaczenie aktu, który jest pierwszym decydującym krokiem powrotu na drogę przed trzema prawie latami porzuconą, drogę nie tylko wspólności interesów, lecz także wewnętrznej łączności ideowej, rzeczywistego, wymarzonego w sercach prawdziwie słowiańskich braterstwa dusz”.

Autor nie ludzi się, że jesteśmy bardzo daleko od takiego stanu rzeczy, bo widzi mnóstwo niezafatwionych spraw, piętrzących się na granicy czesko-polskiej, ale te sprawy muszą być zlikwidowane.

„Tem bardziej, że nietylko o zbliżenie czesko-polskie idzie na przyszłość, a wogóle o ściślejszą łączność Polski ze Słowiańszczyzną. A do Słowiańszczyzny południowej, droga prowadzi, trzeba to sobie przyznać, przez Pragę czeską.

Niema tu nic wspólnego z dawniejszym, dla umysłów polskich mało sympatycznym panslawizmem rosyjskim, nawet z przedwojennym neoslawizmem czeskim. Zrzeszenie się ludów słowiańskich wolnych z wolnymi i równych z równymi tak, jak idea ta wylania się z potopu wojny światowej, odrodzona, o nowe podstawy oparta i z nowymi, realnymi już perspektywami, to coś innego, bardziej uchwytnego i bardziej twórczego, niż wszystkie dawniejsze chimery, wybudowane na chwiejnych kombinacjach, oraz potykające się przy każdym kroku o niepomszczone krzywdy, niezafatwione porachunki poszczególnych braci—słowian. Pod tym względem wojna światowa złagodziła niejedno tarcie, i narody słowiańskie mogą przystąpić do dzieła wzajemnego porozumienia bez rekryminacji i na zgoła nowych zadach. Jednak—trzeba już raz zacząć.

A do tej właśnie pracy nawiązanie stosunków czesko-polskich, przerywanych w styczniu 1919 roku przez Pragę czeską z niezrozumiałą i zadziwiającą krótkowzrocznością polityczną, zdaje się być wstępem wiele obiecującym”.

Tych nadziei zupełnie nie podziela „Nowa Reforma”, wychodząca z wręcz odmiennych założeń: „Wszelkie rozszerzanie czy pogłębienie układu polsko-czeskiego i robienie z niego czegoś więcej, niż instrumentu znośnego współżycia sąsiedzkiego, opartego na lojalnym uwzględnianiu interesów wzajemnych, byłoby dla Polski niekorzystnem. Uwikłałoby ją bowiem w nowe, nieobliczalne w swym rozwoju problemy polityki środkowo-europejskiej, nie dającą jej na prawdę nic za to, lub w każdym razie niestosunkowo mało polskiej racji stanu. Polityka czeska, determinowana jak każda inna polityka, naturalnymi warunkami, w jakich znajduje się państwo, nie może trwale zejść z linii, które z liniami wytycznymi polityki polskiej nie są i nie mogą być równoległe. Czeska racja stanu nie przestanie domagać się bezpośredniego zetknięcia tego państwa z Rosją. Sprawiać ona będzie zawsze, że ilekroć w Pradze będą się ważyły szale między Polską a Rosją, przechyła się one bez wątplenia zawsze w stronę Rosji.

Jeżeli zaś idzie o stosunki do Niemiec, to jakkolwiek na pierwszy rzut oka Czechosłowacja wydaje się naturalnym sprzymierzeńcem Polski to jednak przy bliższej analizie muszą i tu także wystąpić równie liczne jak poważne wątpliwości. Czechosłowacja ma w swoich granicach przeszło cztery miliony ludności niemieckiej, zawartej, wysoko kulturalnej, narodowo uświadomionej do ostatniego dziecka i nie okazującej żadnego zapatu do pogodzenia się z racją

stanu czeską. Położenie geograficzne Czechosłowacji w stosunku do Niemiec jest jeszcze bez porównania gorsze, niż Polski. Pod względem strategicznym — a o ten wzgląd przecież idzie — położenie Czech w stosunku do Niemiec trochę tylko wzmocnionych na siłach, jest poprostu niemożliwe do utrzymania. W tych warunkach zaś polityka czeska ochłonawszy z obecnej gorączki nacjonalistycznej i zmuszona liczyć się ze zmianą stosunku sił tak nieuchronną w Europie środkowej, będzie z konieczności grawitowała do porozumienia z Niemcami, jako podstawowego warunku samego istnienia państwa czesko-słowackiego“.

Polska polityka wobec Sowietów.

Uchwały organizacji społecznych.

Polskie Towarzystwo Wschodnie.

Polskie Towarzystwo Wschodnie wystosowało do Ministra Spraw Zagranicznych następujące pismo:

Polskie Towarzystwo Wschodnie ma zaszczyt zakomunikować Panu Ministrowi, iż na posiedzeniu Rady i Zarządu Towarzystwa rozpatrywana była sprawa wydalenia dziesięciu Rosjan z granic Państwa Polskiego, przy czem uchwalona została rezolucja następująca:

„Polskie Towarzystwo Wschodnie, podzielając całkowicie pokojową politykę Rządu Polskiego oraz zdając sobie w zupełności sprawę z pobudek, którymi się kierował Rząd Polski w trosce o mienie Polski i o los Polaków w Rosji, tem nie mniej uważa się za powołane do dania wyrazu swemu pogładowi, iż wydalenie emigrantów rosyjskich i ukraińskich, dokonane pod naciskiem przedstawiciela sowietów, jest ciężkim błędem politycznym, który spotęguje rozzuchwalenie się władz sowietkich w stosunku do Polski. Ta uległość wobec Rządu Sowietckiego pomści się również, dotkliwie w bliższej lub dalszej przyszłości, kiedy o stosunki polsko-rosyjskie ułożyć się wypadnie już nie z władzą, przez świat cały potępioną, lecz z narodowym rządem rosyjskim, który będzie uznany przez wszystkie narody cywilizowane“.

„Dla dogodzenia władzom tymczasowym Rosji, dla osiągnięcia zysków problematycznych, pogwałconą została wyższa zasada, która po wszystkie czasy powinna być podstawą stosunków międzynarodowych. Polska, której misją dziejową było i jest stać na straży zachodnich ideałów prawa i wolności, pozwoliła na swoim terytorjum święcić tryumf czynnikiem wschodniego despotyzmu, obcym i wrogim tradycji polskiej, upokarzającym Państwowość Polską i polskich obywateli“.

„Polskie Towarzystwo Wschodnie, mając na celu zbliżenie Polski i Wschodu, a w pierwszym rzędzie Polski i Rosji pod względem kulturalnym, politycznym i gospodarczym, czuje się w obowiązku wskazać, iż powyższe ubolewania godne zarządzenie będzie najsilniejszą w przyszłości przeszkodą przy układaniu się normalnych stosunków Polski z jej wschodnim sąsiadem“.

Prezes Zarządu: *Al. Lednicki.*

Prezes Rady: *Z. Kiltynowicz.*

Sekretarz: *Piotrowski.*

Organizacje kresowe.

Liczni członkowie niżej podpisanych polskich organizacji z uczuciem oburzenia i trwogi o przyszłe losy Polski stwierdzają przejawy niesłychanej dotychczasowej bierności i ustępliwości władz polskich wobec zuchwałości bolszewickiej względem Rzeczypospolitej i Jej obywateli.

W Moskwie bolszewicy mordują członka delegacji polskiej, ś. p. Aleksandra Frąckiewicza, który odważnie bronił interesów i praw Polaków w Rosji, a w słusznej trosce o całość i potęgę Rzeczypospolitej śmiało z listy repatriantów wykreślał komunistów i agentów sowieckich.

W Warszawie przedstawiciel pełnomocny Rosji sowieckiej Karachan dyktuje, kogo z emigrantów wydalic mają władze polskie z granic Rzeczypospolitej, a lokale bolszewickiej misji repatriacyjnej przy ul. Chmielnej 37 i bolszewickiego przedstawicielstwa w Hotelu Rzymskim są jawnymi i bezkarnymi ośrodkami bolszewickiej agitacji w Polsce.

Żądamy, aby Rząd Polski w swym nowym zespole spełniał najpierwszy swój obowiązek i bronił honoru, godności i najżywotniejszych interesów Państwa, a stanowczą i śmiałą polityką wobec Sowietów, liczących się tylko z siłą, położył kres ich zuchwalstwu i nieuzasadnionym wymaganiom.

Żądamy, aby z całą surowością ukarani byli sprawcy dokonanego na osobie ś. p. Aleksandra Frąckiewicza mordu, który z właściwą im perfidją Sowiety, jako wypadkowe, jedynie w celach rabunku spełnione zabójstwo, przedstawić usiłują. Żądamy aby rodzina ofiary otrzymała od Sowietckiego Rządu przewidziany obyczajami międzynarodowemi okup.

Żądamy, aby prawo „azylu“ było święcie szanowane na terytorjum Rzeczypospolitej Polskiej.

Związek obrony mienia Polaków, poszkodowanych na terytorjum b. Ces.-Ros. — Komitet Obrony Kresów. Koło Polaków Wołynia. Koło Polaków Kijowszczyzny. Koło Polaków Podola. Rada Narodowa Ziemi Białoruskiej. Związek inteligencji pracującej z Rusi.

O los rodziny ś. p. Al. Frąckiewicza.

Uchwała polskich organizacji kresowych, protestując przeciwko ustępliwości władz polskich wobec zuchwałości bolszewickiej, żąda między innymi, aby rodzina ś. p. Aleksandra Frąckiewicza, członka delegacji polskiej w Moskwie, zamordowanego na posterunku „otrzymała od Sowietckiego Rządu, przewidziany obyczajami międzynarodowymi, okup“.

Jest to zupełnie słuszne. Poruszył już tę sprawę „Kurjer Poranny“ i podobno Rząd Polski wystosował odnośne żądanie do Sowietów. Ale to nie załatwia jeszcze sprawy zabezpieczenia rodziny ofiary mordu bolszewickiego, bo wiemy dobrze, co znaczy otrzymać od Sowietów pieniądze, które nawet zgadzają się wypłacić.

Więc nim to nastąpi, na poczet sumy od bolszewików należnej, Państwo Polskie powinno wy-

znaczyć środki dla zabezpieczenia rodziny urzędnika, który padł ofiarą swego obowiązku, uczciwie spełnionego.

Dochodzą do nas wieści, że sprawa ta nie jest na właściwej drodze. Rodzina s. p. Al. Frąckiewicza, która niedawno wróciła do kraju i niema nawet mieszkania w Warszawie, ma otrzymać jednorazową zapomogę w kwocie 96.000 i pensji miesięcznej 31.000.

W obecnych warunkach jest to suma stanowczo niewystarczająca. Jest to oszczędność nieuzasadniona, kiedy chodzi o zabezpieczenie rodziny, człowieka, który tak tragicznie zginął na służbie państwowej.

Początkowo Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, którego urzędnikiem był s. p. Al. Frąckiewicz, projektowało oprócz pensji, wydać rodzinie milion marek jednorazowo i przydzielić mieszkanie z 2-ch pokojów i kuchni. Lecz projekt ten nie uzyskał aprobaty Komitetu Politycznego Rady Ministrów.

Ku uzdrowieniu Polski.

Ze wszystkich sfer intelektualnego życia polskiego, ze wszystkich dziedzin ruchu społecznego w Polsce świat lekarski, lecznictwo, szpitalnictwo najwięcej obcemi są dla naszego ogółu, przedstawiają jakąś ziemię nieznaną, odgradzają się chińskim murem, na którym napisane jest „noli me tangere“.

Jak ongi przed wieki lekarz chce uchodzić za wybrańca, czarnoksiężnika, arcy-znachora, pisze gzygzakami, łacińskimi wyrazy, nie chce wtajemniczać ani w swą naukę, ani w swe leki laików — swoich klientów. A szpital, oddział szpitalny — to jego pracownia, jego czarodziejskie laboratorium, o zdobycie którego walczył ciężko i długo. On tam, jak przed 100 laty, jest mistrzem, władcą i panem. Urzędy lekarskie, wydziały zdrowia — jak za przodków Mikołaja lub dziadów Wilhelma — przepelnione są polską biurokracją, tchną polską starzyzną, odżegnywają się od wszelkich głębszych reform.

Prawnicy, przyrodnicy, literaci, nauczyciele, inżynierzy nie przedstawiają w Polsce tak odrębnego ciała, nie tworzą takiego sanktuarjum, jak nasi lekarze. We wskrzeszonej Rzeczypospolitej Polskiej grupują się oni w zawodowe zrzeszenia, ale wrota ich wszędzie otwarte, starają się zdemokratyzować, nie dzielą na różne stopnie, jak w dawnych cechach lub łóżach masońskich. Po ukończeniu wyższych zakładów naukowych wszyscy są równi, nie szukają nowych Akademii, nowych tog, beretów, nowych odznak i stopni.

Tymczasem, za ledwie Demokratyczna Polska powstała i mowa polska zabrzmiała w aulach uniwersyteckich, założono w Warszawie nową Akademię Lekarską, jakby nie wystarczało istniejące od wieku Towarzystwo Lekarskie. Łamią sobie głowy we wszystkich trzech stolicach Polski, jakby utrudnić jeszcze konkursy na ordynatorów szpitalnych, wynaleźć nowe egzaminy na nowych funkcjonariuszów, uczynić ze szpitali dobroczynny przytułek dla chorych biedaków, poddających się na łaskę i niełaskę wyższej i niższej służby szpitalnej.

Czas wielki, ażeby przed forum publiczne

postawić sprawę zdrowotności Warszawy i całej Polski, kwestję życia i śmierci tysięcy Polaków, ażeby opinia nasza poznała je dokładnie i z całą energią i siłą domagała się rdzennych zmian, reform.

Dziwnem jest i dla wielu niezrozumiałem, jak publiczność polska, nawet inteligencja, mało uświadomiona jest pod względem higienicznym, jak mało interesuje się stanem zdrowotnym Polski, jak obojętnym okiem patrzy na pogwałcenie na każdym kroku pierwszych zasad higieny.

Czyż np. w jakimkolwiek większym mieście za granicą publiczność pozwoli przewozić chleb na tak brudnych wózkach, jak u nas, pokrytych obrzydliwym galganem, albo wystawiać na kurz mięso, masło, sery? Czy zniesie zamiatanie ulic o każdej porze i to bez polewania wodą! Czy zgodzi się na takie straszne brudy na dziedzińcach, schodach, w ustępach? Czy zniesie brak miejsca w szpitalach i trudność w przyjmowaniu chorych? Czy zgodzi się mieszkać i pracować w wilgotnych cuchnących norach bez światła i powietrza?

Od czasu wojny, od lat 7-miu, a szczególnie w latach ostatnich o higienie zupełnie zapomniano. W fabrykach, warształach i pracowniach niema prawie żadnych higienicznych ustaw, regulaminów ani odpowiedniego personelu do przestrzegania ich. W restauracjach, kawiarniach, cukierniach — w salach i kuchniach — brudy i brak powietrza. Na kolejach, kolejkach kurz, brud w wagonach i poczekalniach. W szkołach zadawalniana się otwieraniem okien, niema ani jednego wentylatora.

W obecnych czasach higieny — to rzecz przestarzała, niemodna, to nie spirytyzm, futuryzm. Minęły czasy Prusa, dr. Chełchowskiego... Towarzystwo Higieniczne ma piękny gmach, wynajmuje wielką i małą salę codzień na różne popisy, seanse, odczyty, byle nie z higieny, bo publiczność nie dopisze. Towarzystwo Higieny imienia Prusa dogorywa, znaków życia nie daje... Towarzystwo przeciwgruźlicze ledwie wegetuje, śmieśnie małym budżetem obraca.

Na gorzką ironję zakrawa. Pod knutem moskiewskim, podczas carskiej niewoli, Warszawa szczyła się czystością. W towarzystwach higienicznych wrzało od pracy: wychodziły pisma, drukowano broszury, urządzano pouczające wystawy, gorąco dyskutowano o higienie w przepelnionych salach. W fabrykach i warształach obowiązywały i wykonywane były rosyjskie nienajgorsze przemysłowe i higieniczne ustawy.

Teraz, gdy Polska ma wolność i rzeczpospolitą, śmiertelność i chorobliwość zwiększa się, wszystkie prawie epidemie u nasgrasują, — a jednak cicho i głucho o higienie.

Czyja w tem wina?

Główną przyczyną jest długa wszechświatowa okrutna wojna. Ona jest sprawczynią tysiąca klęsk ludzkości. Kując broń, napelniając granaty, szyjąc mundur, ucząc się strzelaniny, idąc na wojnę, człowiek zapominał o wszelkiej higienie. Jeść, pić, zbroić się i bronić ojczyzny — to było wyłącznie jedynem zadaniem żołnierza, robotnika, fabrykanta, chłopca i pana... artyści nawet.

Na wojnie i przez wojnę człowiek zdziczał, zapominał o wszelkiej higienie. Wrócił i żyć za-

pragnął jaknajlepiej i jaknajweselej. Za Polskę walczył, a może i nie walczył... Polska wolna winna stać się jego żłobem i skarbnicą. Gdzież tam myśleć komu o higienie, zwłaszcza ludu, zwłaszcza fabryk!..

Przechodzimy dziś straszny okres krytyczny, kiedy wszyscy pochłonięci są ideą zaspokojenia swych potrzeb materialnych, zbogacenia się, kiedy opinia publiczna coraz mniej oburza się na żądę używania świata, paskarstwo i szmugiel.

Dla propagandy higieny moment bardzo niewdzięczny...

Zdawałoby się, że wszyscy lekarze, jako związek zawodowy, mający za swój sztandar czerwony godło higieny, rzucą się do walki z epidemiami i z chorobami, do rozpowszechniania słowem i piśmem nauki o zachowaniu zdrowia. Ale lekarze toć zwyczajni śmiertelnicy, i oni porwani są w wir życia powszedniego — walki o byt, walki o zdobycie grosza.

Zdawało się, że może polski demokratyczny rząd podejmie się tej wielkiej zaszczytnej roli. Ale i tu piętrzyły się wielkie przeszkody: ruina moskiewsko-niemiecka, wiekowa rutyna, biurokracja eksmoskiewska i eksaustująca ze wszystkimi jej konsekwencjami, pustki w kasie, konieczność oszczędności i coraz wzrastające potrzeby i domagania się personelu. Częstość rząd i odpowiednie urzędy wahały się. Zaledwie jednak wydały jakie racjonalne rozporządzenie, natychmiast ograniczały je różnymi wyjątkami, jakby cofały się i wpadały w polski stan błogi „jakoś to będzie“.

Nie należy zapominać, że rząd szczególnie w sprawach zdrowotnych jest z natury rzeczy konserwatywny, nie jest pochopny do reform, podejmuje się ich tylko pod presją opinii publicznej czy też Sejmu lub Rady Miejskiej. Nasz Sejm tymczasem, nasza Rada Miejska jest więcej zajęta waśniami kilkunastu partii politycznych, urządzaniem uroczystych przyjęć, podniesieniem budżetu teatrów, niż zdrowotnością i śmiertelnością ludu polskiego.

Zresztą, większość naszego społeczeństwa nie rozumie, że chwila dzisiejsza to nie zwyczajny moment dziejowy, nie zwykła historii godzina.

Dziś już wstąpiliśmy w nową epokę. Świat stary, zbutwiał, zawałił się razem z carami i cesarzami. Na zgliszczach samowładnych niewolniczych cesarstw powstały nowe demokratyczne Rzeczypospolite, a na ich czele wielka wolna, demokratyczna Rzeczypospolita Polska. Jak wszędzie, tak i u nas długa straszliwa wojna wielki wyłom zrobiła w polskiej reakcji, w polskim ucisku najmity, w polskiej niewoli ducha i myśli.

Po okresie apatii i depresji, po okresie pogoni za złotem i używaniem nowa era już świta, świat nowy się rodzi. Inne, niż dawniej, wyłaniają się cele, inne aspiracje, inne środki i drogi. Starzy i młodzi powinni zrozumieć tę przełomową chwilę, mieć odwagę zerwać poszarpane już pęta, zniszczyć rozluźnione już hamulce. Musimy odczuć tętno nowego życia, młodzi duchem iść naprzód i naprzód!..

Tylko przejęci taką ideologią mogą prowadzić ster polskiej łodzi rządowej.

Nie szukajmy niskich pobudek, zawiści w krytyce przestarzałych instytucji, w żądzy

prędkich, radykalnych reform. Cieszymy się, że i w Ministerstwie Zdrowia i w Ministerstwie Pracy i w samorządach miejskich coraz nowe, coraz jaśniejsze przebliski zwiastują wschodzącą zorzę lepszego jutra... Rozbudźmy ludzi, co śpią jeszcze, co są odętwiali albo opętani w szale dzisiejszym... Niechaj i oni pomogą w walce o uzdrowienie Polski.

Wsluchajmy się w szmer tłumu, w głos opinii publicznej. Podnieśmy, poddajmy dyskusji ich prośby, życzenia, gorące pragnienia...

Oto pierwsza ich garstka:

1) Utworzenie czempredzej w Warszawie w różnych dzielnicach poradni przeciwgruźliczych na wzór francuskich jeszcze przedwojennych „dispensaires antituberculeux“, gdzie chorzy nie tylko otrzymywali poradę i leki, ale cały dzień mogli leżeć na leżakach i dostawać obfitą strawę.

2) Zmusić władze wykonawcze do przestrzegania czystości w domach, na ulicach, w rzeźniach, w sklepach, na straganach, przy przewożeniu produktów spożywczych.

3) Znieść, nakładając najsurowsze kary, fałszowanie mleka i innych produktów spożywczych.

4) Zapobiec wszelkimi środkami brakowi szpitali i przytułków dla chorych i niemowląt, zabierając puste szpitale wojskowe, przerabiając baraki etc. Pieniądze na leczenie i higienę muszą się znaleźć. Fundusze, przeznaczone na teatry, pomniki, upiększenie miasta, uroczystości, powinny być przeznaczone na ochronę od śmierci i choroby.

5) Szpitale muszą przestać być instytucjami dobroczynnymi, jakimiś przytułkami, ale powinny być lecznicami dla ludzi, którzy nie mają dość środków na pobyt w domach zdrowia. Opłacając wielkie podatki, opłacając w razie możliwości szpital, mieszkańcy Warszawy powinni uważać szpitale za swą własność, rościć do nich wszelkie prawa. Lekarz jest tam tylko funkcjonariuszem. Laboratoria mają służyć wyłącznie do pomocy rozpoznawania i leczenia chorób w szpitalu, a nie do badań czysto naukowych.

Zasadą, ideą przewodnią powinno być, że nigdy dla istotnie chorego nie może zabraknąć miejsca w szpitalu, że nie ma prawa odmówić mu przyjęcia żaden lekarz, ani też wypisać przed zupełnym wyleczeniem.

6) Wszyscy chorzy obłożni, gorączkujący, powinni być przewożeni w karetkach zamkniętych. Na to muszą znaleźć się fundusze. Zbrodnią bowiem jest zmuszać chorego jechać do szpitala tramwajem albo otwartą dorożką, zwłaszcza w dni słotne i zimne.

7) Wobec coraz częstszych strajków w szpitalach czempredzej Magistrat, Ministerstwo Pracy i odpowiednie związki zawodowe powinny opracować umowę „modus vivendi“, któryby zapobiegał pozostawianiu chorych bez opieki.

8) Towarzystwo higieniczne, Towarzystwo przeciwgruźlicze i t. p. powinny zająć się krzewieniem higieny słowem, piśmem i czynem, powinny zmartwychwstać i żyć.

9) Żądać zniesienia monopolu aptek, jak to egzystuje od niepamiętnych czasów we Francji. Tym sposobem ceny lekarstw spadłyby,

a składy materiałów aptecznych nie zajmowałyby się leczeniem i preparowaniem lekarstw.

10) Wszystkie urzędy zdrowia, towarzystwa higieniczne i przeciwgruźlicze, Instytut epidemiologiczny, liga walki z epidemjami i t. p., powinny często i bardzo szczegółowo dawać sprawozdania ze swej działalności, ze swych owocnych rezultatów i zawodów, ze swych zamierzeń.

Dr. Józef Zieliński.

W Komitecie Pomocy ofiarom głodu w Rosji.

2-go listopada w lokalu Polskiego Towarzystwa Wschodniego odbyło się posiedzenie Polskiego Komitetu Pomocy ofiarom głodu w Rosji. Przewodniczył obradom ks. arcybiskup Ed. Ropp. P. Tadeusz Michalski zakomunikował, że statut Komitetu zarejestrowany. Na porządku dziennym organizacja pomocy polakom, znajdującym się w Rosji, w porozumieniu z Komisją Repatriacyjną. Obecny na posiedzeniu prezes polskiej delegacji w mieszanej Komisji Repatriacyjnej p. Stanisław Korsak objaśnił, w jaki sposób odbywa się przesyłanie paczek żywnościowych do Rosji i sprecyzował zasady, na których mogła by być opartą współpraca Komitetu pomocy głodnym z Komisją repatriacyjną. Komisja Repatriacyjna może dać dla paczek Komitetu wagony. Przy ładowaniu takiego wagonu był by obecnym przedstawiciel Komitetu, również Komitet może dać swego pracownika dla konwojowania wagonu w drodze. Przy rozdawnictwie produktów na miejscu będzie pracowała osoba, która wejdzie w skład delegacji Repatriacyjnej z ramienia Komitetu.

P. Korsak wyjaśnił, że dotychczas Komisja Repatriacyjna mogła należycie zorganizować rozdawnictwo paczek żywnościowych w Moskwie i Piotrogradzie. Teraz robi się próba przesyłania paczek wprost do Kijowa i Charkowa. Tymi większymi centrami wypadnie i nadal ograniczyć się przy okazaniu pomocy rodakom, ponieważ Komisja repatriacyjna nie może korzystać z poczty dla przesyłania paczek żywnościowych, więc tylko w wyjątkowych razach, korzystając z bezwzględnie pewnej okazji, może przysyłać paczki do innych miast w Rosji i na Ukrainie.

Następnie p. Targowski odczytał projekt regulaminu dla Komisji Technicznej wyłonionej z Komitetu Pomocy specjalnie dla działań w ścisłym porozumieniu z Komisją Repatriacyjną. Zebranie postanowiło nad regulaminem nie dyskutować a uchwaliwszy w zasadzie utworzenie takiej Komisji Technicznej polecić jej opracowanie regulaminu dla przedstawienia na plenum Komitetu.

Do Komisji Technicznej zostali powołani gen. Kątkowski, p. p. Michalski, Sawicki, Targowski i pani Neymanowa.

Na wniosek p. Michalskiego zebranie wyraziło gorące podziękowanie p. St. Korsakowi za przyście z pomocą zamierzeniom Komitetu.

Po wysłuchaniu sprawozdania p. Bersonowej z działalności Komisji Finansowej uchwalono zaprośić na przewodniczącego Komisji Finansowej p. Grodzieckiego. Do Komisji Finansowej weszli obecnie: pani Bersonowa, p. p. Ewert, Kiltynowicz, Laurysiewicz, Pieńkowski, Sawicki i Wolski.

O Polsce w Ameryce.

Wychodzący w Toledo (stan Ohio) wielki tygodnik „Ameryka-Echo“ tłumaczy w bardzo przekonujący sposób, dlaczego takie góry nienawiści nagromadziły się względem narodu naszego za Atlantykiem. Rzeczywiście yankesi odnosili się zawsze do Polski życzliwie, natomiast żywoły napływowe z ostatnich pięćdziesięciu lat rozpały zagiew nienawiści. I tak Niemcy szczepili pojęcie o wyższości nadsprewskiej kultury, Szwedzi siali nietolerencję religijną, Irlandczycy zaś ciemnotę i zacofanie. Żywoły te opanowały całą prasę i rzucały kamieniem potępienia na każdą myśl, odbiegającą od wytkniętej przez nie linii. Do tego łańcucha przybyło jeszcze czwarte ogniwo: sjonizm, z nienawiścią do świata chrześcijańskiego. Rzekome pogromy w wskrzeszonej Rzeczypospolitej odbyły się głośnym echem na kongresie waszyngtońskim. Tymczasem misja senatora Morgenthaua i enuncjacje Jamesa Jay Kanna, skarbnika amerykańskiej delegacji pomocy dla Polski, przekreśliły oszczerstwa i oświeciły niegodziwość planowego i w programowe ramy ujętego sposobu walki... Bez ogródek zaznaczył Kann w „Current History“, że żydzi zewnętrznym wyglądem, językiem, kulturą, zwyczajami, odgradzają się — niby chińskim murem — od całego zbiorowiska rdzennej ludności, a prym między nimi wiodą litwacy, warstwa ogromnie konserwatywna, przesiąknięta ghetem, separatyzmem, — i niechęcią do wszystkiego, co tchnie narodowym, historycznym duchem i tradycją świetności Jagiellońskiej. Kann utrzymuje, — że gdyby żydzi w Ameryce lub Anglii naśladować próbowali przykład swoich współwyznawców nad Wisłą, nigdyby społeczeństwo nie obchodziło się z nimi podobnie łagodnie, jak w Polsce. Jeszcze gorzej, niż na polu kulturalnym, przedstawiają się różnice na szachownicy wewnętrzno-politycznej. W państwach republikańskich mniejszość idzie za większością. Tymczasem w Polsce mniejszość nie chce nic słyszeć o czemś podobnym. Skoro tak, jedna przed nią właściwie droga: wychodźtwa. To jednak nie nastąpi, gdyż „żydzi wcale nie pragną emigrować. Palestyna ich wcale nie pociąga. Jakież tedy rozwiązanie kwestji żydowskiej?“... Według Kanna, muszą żydzi uznać istniejący stan rzeczy, zostać Polakami w pełnym tego słowa znaczeniu, muszą przyjąć nasze zwyczaje i zachować jedyną właściwość: czystą wiarę. Po tych wywodach uczciwego Amerykanina religji możeszowej zaraz ucichły w prasie krzyki na prześladowania w Polsce i posypałe zostały grubą szychą. Za przykładem Kanna poszli i inni publicyści. Wysokiej miary dziennikarze, jak Simmonds, Winter, zaczęli wykazywać przy każdej sposobności, — że Śląsk i Wileńszczyzna są dzierzawami nawskroś polskimi, — a społeczność polska do szpiku i krwi wolnomyślna, choćby pozwalając na zupełnie swobodną akcję rozmaitym baptystom i metodystom, którzy zjechali aż z Ameryki. To też publicystyka za Atlantykiem, spostrzegłszy, — że zaplątała się w oczka sieci nastawionych przez niesumienne agitatorów, wycofuje się z zaczepnego stanowiska, zaczem dawna naganka ustępuje miejsca życzliwej neutralności lub nawet pochwałam i rzeczo-

wym artykułom, co wszystko składa się na widoczną zmianę frontu. Od czasu do czasu jednak odezwie się przebrzmiałe echo. Tak n. p. markiz de Fontenoy zamieścił w filadelfijskim *Evening Bulletin* i w innych pismach artykułik pod krzykliwym tytułem: „Nowy poseł polski nie umie po angielsku ani też po francusku“... W wywodach swoich oddaje autor wielkie pochwały ks. Kazimierzowi Lubomierskiemu, ambasadorowi w Waszyngtonie, i przyczepiając się do rozpowszechnionej przed tygodniami plotki, żałuje, — że na miejsce doświadczonego i wielce zasłużonego przedstawiciela powołuje się p. Jana Dąbskiego, władającego tylko pobieżnie językiem niemieckim. Z niesłychaną lekkomyślnością nazywa markiz p. Dąbskiego osobistym przyjacielem Joffego, wielbicielem Lenina i Trockiego, z powodu czego polecono mu zawieranie pokoju w Rydze! Wytrząsnąwszy z rękawa takiej miary bajeczki, nie oszczędził p. Fontenoy i Naczelnika Państwa, podsuwając mu czyny, wkraczające w obręb najprywatniejszego życia, które szanuje każdy człowiek, wymagający dla siebie szacunku... Oczywiście, należałoby tu za chorąłem Ujejskiego prosić o ukaranie ręki nie miecza... Ręką kierującą nie była z pewnością dłoń lekkomyślnego p. Fontenoy. Inni szatani byli czynni... Są to coraz bardziej kurczące się podrygi antypolskiej roboty.

Fs.

Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

W sobotę, 12 listopada, o godz. 8 wiecz., w małej sali Towarzystwa Hygienicznego przy ul. Karowej odbędzie się ogólne zebranie członków Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela, na którym będzie przedłożone sprawozdanie z dotychczasowej działalności i omawiana sprawa stosunków wyznaniowych w Chełmszczyźnie. Wstęp dla członków i wprowadzonych gości.

Książki nadesłane do redakcji.

Wydawnictwa Książnicy Polskiej T-wa Nauczycieli Szkół Wyższych.

Stadtmüller Karol, inż. Niemiecko-polski słownik okrętowy przejrzany przez Komisję języka pol-

skiego Akademii Umiejętności w Krakowie. Lwów-Warszawa 1921.

Rostofiński Józef dr., prof. Uniw. Jagiellońskiego, *Mały Botanik*, to jest łatwy sposób oznaczania roślin pospolitych w polsce. Ze 142 rycinami. Kraków 1921.

Petymak-Sanecki Kazimierz dr. i Tomaszek Franciszek dr. *Zasady ekonomii społecznej*. Dla wyższych zakładów naukowych w Polsce. Wydanie drugie. Lwów — Warszawa. 1921.

Gebert B. i Gebertowa G. *Opowiadania z dziejów powszechnych ze szczególnem uwzględnieniem dziejów Polski*. Część druga. Z 48 rycinami Lwów—Warszawa. 1921.

Koncewicz Łukasz, b. prof. Gimn. Gub. Lub. *Nowy Słownik podręczny łacińsko-polski*, opracowany podług najlepszych źródeł. Lwów—Warszawa. 1921.

* * *

Prawa Państwa Polskiego pod redakcją Prof. Władysława Leopolda Jaworskiego. Zeszyt X.

Podatek dochodowy i majątkowy wraz z dodatkiem:

Jak wypełniać fasję?

Wydał i objaśnił *Prof. Adam Krzyżanowski*.

Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej. 1921 r.

Pułkownik Strus (Dr. Jan Stella-Sawicki) *Moje wspomnienia (1831—1910)*. Z rękopisów autora wydał, wstępem i przypisami opatrzył Dr. Eugenjusz Barwiński. H. Altenberg, Księgarnia Wydawnicza we Lwowie. Str. 186.

Józef Nusbaum-Hilarowicz, *Pamiętniki przyrodnika*. Autobiografia. H. Altenberg, Księgarnia Wydawnicza we Lwowie. Str. 152.

Od Wydawnictwa.

Prosimy Sz. Prenumeratorów naszych o uregulowanie zaległej i bieżącej prenumeraty.

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego” wynosi od 1-go października **miesięcznie 300 mk. za granicą podwójnie**. Cena pojedynczego numeru **80 mk.**

Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk. — Strona ogłoszeniowa dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.

Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch”, Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE” Redaktor: Leon Kozłowski.

SPÓŁKA AKCYJNA WYDAWNICZO-DRUKARSKA „PRACA”, KREDYTOWA 2/4. TELEFON 60-70.

<http://rcin.org.pl>